№ 32. Warszawa, dnia 7 Sierpnia (26 Lipca) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

POLITYCZNA SPÓŁKA.

Ani prasa rosyjska, ani jej czytelnicy niemców nie kochają, pomimo że pierwsza wytrwale podtrzymuje pozory udanej miłości. Zwłaszcza dzienniki, z których poglądami opinia się liczy, zwykły upewniać świat o przyjaźni dla zachodnich sąsiadów, nawet wtedy, kiedy tę przyjaźń jeść trzeba z gorzką miną. Od czasu do czasu jednak maska opada, udanie rozdziera się i ukazuje głęboko tajoną nienawiść. Podobny widok mamy właśnie przed sobą. Gazety rosyjskie złorzeczą Niemcom— i za co? Czy wykryły jakąś zdradę? Czy przeniknęły wrogą intrygę? Czy ugodzone zostały jawnym dowodem złej woli? Nietylko hr. Kalnoky pojechał do ks. Bismarka, z którym naturalnie porozumiał się co do spraw europejskich. Sam ten fakt dostarczył materyału nietylko gniewom, ale rozczarowaniom i postanowieniom rozbratu na przyszłość. Z małej chmury nie spadłby tak wielki deszcz, gdyby po nad nią nie wisiała większa.

Ale o cóż chodzi? Przyjaźń z Niemcami jest to uczestnictwo w trójcesarskiem przymierzu. Otóż — według *Swieta* — przymierze owo obecnie już nie istnieje. Powołuje on się na zdanie angielskiego *Standarda*, że cała polityka Bismarka dąży do skrępowania rosyjskiej ambicyi w granicach Europy i wytworzenia pozornej zgody austro-rosyjskiej, któraby paraliżowała ruchy wschodniej spólniczki. Branka probuje nieraz zerwać pęta, ale po daremnych wysiłkach opuszcza ręce i zapada w ponury spokój; kto inny znowu porównał Rosyę do schwytanego podstępem dzikiego słonia, którego prowadzą dwa domowe, utresowane, na poddańcze usługi człowiekowi. Oba te porównania wydają się *Swietowi* bardzo trafnemi, ale racya ubezwłasnowolnienia jego ojczyzny w działaniach zewnętrznych — śmieszną. „Bo powiedźcież raz na miłość boską — woła on — kiedy i w czem ta „rosyjska ambicya" ujawniła się za pośrednictwem dyplomacyi? Czy na kongresie berlińskim? Czy teraz wobec wypadków na półwyspie Bałkańskim? Nie... Co tu mówić o ambicyi, kiedy my po prostu zdobyć się nie umiemy na tyle miłości własnej, ile jej potrzeba w najzwyklejszym wypadku i spieszymy uprzejmie z usprawiedliwieniem się przed mityczną „Europą" wtedy nawet, kiedy nikt tego nie wymaga? Nie byłoż tak świeżo z powodu odsłonięcia pomnika dla gen. Chanzego?... Przedmiotem najwyższej naszej ambicyi byłoby wyzwolenie się nakoniec z wszelkich przymierzy i pozostanie sobą na to, aby żyć w pokoju, kierować się w polityce interesami wyłącznie rosyjskimi... nie ruszając nikogo, ale i nie pozwalając żadnym „tresowanym słoniom" klaść łap na nas."

Octem napoiło się również pióro *Grażdanina*. Wspominając o spotkaniach ministeryalnych i monarszych u wód niemieckich, tak ironizuje: „Ten schwytany na gorącym uczynku (Batum) żak, Rosya, obrabianą będzie przez swych guwernerów, *Herrów* Bismark und Kalnoky, oraz przez swoich *Papachen* i *Mamachen*—Niemcy i Austryę, a kto wie, może nawet — zależyć to będzie od działania wód na organizmy *Papachen* i *Mamachen* — zostaniemy skazani na śmierć... Oto — pisze dalej ks. Meszczerskij — do czego doprowadziła nas tyloletnia polityka trójpaństwowego przymierza — jeżeli mamy wierzyć angielskim wyroczniom — polityka utrzymania pokoju za wszelką cenę: doprowadziła nas do ruiny tego przymierza w chwili, kiedy by się przydało, doprowadziła do możliwości związku europejskiego przeciw nam samym a z pobudki dwu naszych *wiernych* spólników i przyjaciół — Austryi i Niemiec." *Gwaždanin* przypuszcza, że ten dyabeł wymalowany jest bezsilną złością gazet angielskich, ale na wszelki wypadek dodaje: „Nie daj nam Boże słodko zasypiać! Gdziekolwiek ujrzelibyśmy bagnety, gdziekolwiek zobaczylibyśmy odlewanie kul, gdziekolwiek usłyszelibyśmy mielenie politycznych języków — bądźmy pewni, że te bagnety, kule i języki przeciw nam się zwrócą."

Nowoje Wremia stara się zabarwić szkła swoje różowo, ale dostrzega przez nie też punkty czarne. „Rosya — powiada ono — została wyparta z półwyspu Bałkańskiego a to w części, dzięki opiece, jaką polityka niemiecka dawała nieprzyjaznym nam siłom i wpływom. Jeszcze jedna w tym rodzaju próba, a może nie wytrzyma jej przyjaźń rosyjsko-niemiecka."

Petersb. Wiedomosti, będące dość wiernem echem sfer rządowych, dostrajają się także do tonu ogólnego niezadowolenia: „Więcej niż dziwnym nad brzegami Sprei jest widok jednoczesnych objawów przyjaznego i wrogiego dla Rosyi usposobienia, i czas już, doprawdy, odgadnąć istotną treść polityki niemieckiej. Nie możemy czekać na tę chwilę, kiedy Londyn da Berlinowi zupełną rękojmię, a obecna doba, bardziej niż każda inna, domaga się najzupełniejszego wyjaśnienia naszych stosunków z sąsiadem niemieckim."

Mimo różnic w rozwinięciu i natężeniu, skargi te brzmią wspólnym motywem, który da się wyrazić w następującym wniosku: potrójne przymierze pękło, nie zapewniwszy Rosyi podczas swego trwania żadnych korzyści i naraziwszy ją na liczne straty. Otóż, zdaniem naszem, wniosek ten jest mylny. Bo naprzód nie ulega wątpliwości, że zwłaszcza skutkiem wyborów angielskich i przyjścia do władzy

stronnictwa wrogiego Rosyi a sympatyzującego z Niemcami, ów troisty związek nieco osłabł, mianowicie o tyle, że ks. Bismark zamiast dwu podpór ma obecnie trzy a więc na każdej polega z mniejszym ciężarem. Nie znaczy to jednak wcale, ażeby on którejkolwiek nie potrzebował i ażeby ją chciał odrzucić. Oddawna żywimy przekonanie, potwierdzone wielokrotnemi próbami, że nie ma dziś w Europie mocniejszego powinowactwa, nad sojusz zwany potrójnem przymierzem. Dopóki główna jego podstawa trzyma się, nie zniknie — chociażby go chwilowo bieg wypadków rozluźnił. Jest on bowiem nietylko węzłem sympatyj osobistych, nietylko ciążeniem pokrewieństw politycznych, ale splotem jednorodnych interesów. Przesadza też prasa rosyjska, twierdząc, że z tego stosunku państwo jej nie wyciągnęło żadnych zysków, a poniosło szkody. Zdarzały się i ostatnie, ale pierwsze także przedstawiają poważną sumę. Przedewszystkiem cel spółki, zawiązanej przed wiekiem, w znacznej mierze został osiągnięty nietylko przez Prusy, lecz i przez Rosyę. Nadto zdobycze na południu i wschodzie, oraz ich wpływy w tych kierunkach, chociaż istotnie tamowane, posunęły się i posuwają ciągle. Angielscy ministrowie okraiwali dużo, ale pruscy pomagali otrzymać niemało. Jeżeli zaś mieć będziemy na względzie warunki rozprężliwości zewnętrznej, to trudno byłoby dla Rosyi znaleźć dogodniejszego sprzymierzeńca nad Niemcy.

Inna rzecz, jeżeli położymy wagę na szalę rozwoju wewnętrznego. Z tego stanowiska dzienniki rosyjskie mają zupełną słuszność i wyświadczyłyby napominaniem rzeczywistą społeczeństwu usługę, gdyby jakiś skrawek nowozdobytej ziemi nie miał dla nich większej ceny, niż pomyślność narodowa. A w tej pomyślności niemcy odegrali fatalną rolę. Prasa rosyjska przeciera sobie oczy smutnemi doświadczeniami i zgubne widzi następstwa działań sąsiedzkich, ale na nieszczęście są to w niej tylko *lucida intervalla*, po których zwykle przychodzą bałamutne szały i upojenia. Wtedy niemiec znowu ukazuje się jako dobrodziej i przyjaciel, chociaż on zmienia swą skórę, ale nie duszę. I teraz, oczkując mile ku Anglii, nie myśli z pewnością o wypowiedzeniu przymierza dyplomatycznego; święcie on go dotrzyma, bo ono mu zapewnia wieczystą rentę polityczną, którą chętnie ze spólnikami podzieli i swojej części się nie zrzeknie za czułe spojrzenia Anglii. Daremne obawy. O przyjaźni niemieckiej można wątpić zawsze, ale o przebranem w jej szatę samolubstwie — nigdy.

Z POWODU WĘGORZA.

Chwilę obecną znamionują nie tyle groźne wypadki, ile ich powody. Powody te prawie zawsze są niezmiernie drobne, nikłe, na pozór niezdolne wywołać poważniejszych następstw, a tymczasem przyczyniają się do wielkich wstrząśnień. Dowodzi to przedewszystkiem podminowania życia społeczeństw pierwiastkami mu nieprzyjaznymi, nagromadzenia się w jego wnętrzu materyałów palnych, żywiołów niebezpiecznej fermentacyi. Często stosowane porównanie epoki bieżącej do olbrzymiej prochowni, w której najmniejsza iskra powoduje wybuch, jest rzeczywiście trafnem. Widzieliśmy już tych iskier i wybuchów mnóstwo, widzieliśmy myszy, z których rodziły się wulkaniczne góry. Oto, i nowy fakt togo rodzaju.

W Holandyi, która, jak wszystkie kraje, zachowała w swych zwyczajach resztki dzikości, przechowywaną jest tradycyjnie szczególna zabawa ludowa, zwana *palingtrekken*. Przez kanał od jednego domu do drugiego przeciąganą bywa lina, na której nad wodą wisi żywy węgorz. Zapaśnicy, przepływając pod nim szybko na łodziach, usiłują oderwać tułów od głowy, a ponieważ jest to trudnem, biedna ryba znosi długie męczarnie. Policya amsterdamska oddawna już wzbroniła tego igrzyska, gdy więc je wyprawiano obecnie, przybyło z zakazem kilku stróżów porządku publicznego i odwiązało linę, która, padając, uderzyła dziewczynkę. To dało hasło do rozruchów, które trwały przez kilka dni, zamieniły się na zbrojną walkę uliczną a zakończyły śmiercią wielu poległych i cierpieniami rannych. Naprzód policyanci zostali przez tłum sponiewierani i pobici, potem wojsko ogniem karabinowym uśmierzyło bunt.

Zarodem tego starcia była dawniejsza nienawiść mieszkańców do policyi, zbytnim i nieumiarkowanym zapałem w pełnieniu swych obowiązków niejednokrotnie dokuczliwej. Ale nienawiść ta nie byłaby doprowadziła do takich krwawych walk, gdyby jej nie rozdmuchali socyaliści, którzy umiejętnie i w porę dolali oliwy do ognia. Wkrótce też małoważna awantura zamieniła się w bój zacięty, który smutną pamiątkę zostawi na kartach dziejów Amsterdamu.

Najbliższym powodem tych zapasów był... węgorz. Gdybyśmy tę zależność faktów przedstawili w oderwaniu, trudno byłoby ją pojąć; jeśli wszakże uwzględnimy skład atmosfery moralnej obecnego czasu, zrozumiemy możliwość takich nieodpowiednich swemu źródła wyników. Atmosfera zawiera mnóstwo bakteryj, które opadając na wszelką ranę, jątrzą ją i szybko wywołują objawy gwałtowne. Mikroby socyalistyczne przepełniają powietrze, głównie więc dlatego dostrzegamy je we wszystkich ostrych procesach chorób społecznych. Powód, czyli przyczyna najbliższa jest tu całkiem obojętną — może nią być obelżywy wyraz, udeptanie w nogę, uderzenie kijem lub węgorz. Wszystko wystarczy do wyładowania z przytłumionych namiętności całej niszczącej potęgi i gniewu, zemsty, szału, chciwości i łupiestwa. Posłuchajmy tylko jednego ustępu opowieści węgorzowej: „Powstańcy zabarykadowali wejście na plac giełdowy dużemi belkami, rusztowaniami, które ściągano z domów, wozami itd.; wyrywano płyty z chodników, wynoszono meble z pomieszkań i sklepów plądrowanych. Gdy wojsko nadeszło, plac ze wszech stron był już obwarowany. Na trzykrotne wezwanie komendanta, ażeby ustąpili z barykad, odpowiedzieli gradem kamieni, a nadto padły strzały rewolwerowe. Wojsko rozpoczęło szturm, na wyraźne polecenie ministra wojny Weitzela, który gubernatorowi woj-

---

2)

POWIEŚĆ.

PRZECIĄGNIĘTA STRUNA.

II.

Staroświecki stojący zegar wydzwaniał powoli siódmą godzinę w salonie, urządzonym ze staraniem, aby starej kobiecie, siedzącej przed kominkiem, zapewnić możliwą wygodę. W wysokiem krześle, oparła obie ręce na poręczach, a żywy blask ognia oświecał jej twarz pomarszczoną, na której w tej chwili igrał uśmiech łagodny. Wypadki przeszłości przesuwały się przed nią, jak w kalejdoskopie. Wspomnienia boleści przeżytych, złagodzone przez czas, służyły obecnie za ramy, w których uwydatniały się jaśniej i dobitniej chwile szczęścia. Z chaosu różnych postaci wyłoniła się złotowłosa dziecina, pieszczona przez matkę, psuta przez ojca, uwielbiana przez oboje.

Miała lat ośm, kiedy pierwszy grom uderzył z jasnego nieba jej życia. Widziała przeciągające oddziały uzbrojonych, dym pożarów; słyszała huk strzałów i jęki rannych. Wreszcie ojciec pożegnał rodzinę, siadł na konia i więcej nie powrócił, a matka w kilka miesięcy poszła za nim, polecając dziecinę opiece krewnych. Dziecię rosło i wyrosło, a ludzie mówili, że jest piękną. Krewnym znudziło się trzymać sierotę w domu: wydali ją za starego, bogatego, zdziecinniałego rozpustnika, który zawiózł ją do ogromnego, ponurego dworu, gdzie straszyły ją wysokie portrety dziadów i prababek, gdzie znalazła wszystko, oprócz sympatyi i poczciwego słowa, bo stary pan, znudzony po niejakim czasie jej ciałem, tyranizował ją i brał za przedmiot żartów i z urągań jej słodyczy dziewiczej. Pognębiona i cicha cierpiała, schnąc z tęsknoty za życiem, którego nie znała, o którem jednak marzyła mimowolnie.

Spostrzegła, że będzie matką. Uczuła w sobie skarby miłości i poświęcenia dla mającej przyjść na świat istoty. Niebo wydało jej się weselszem, mąż znośnym; przebaczyła mu wszystko w imię swego macierzyństwa i po kilku miesiącach przycisnęła do łona chłopca, który od tej chwili stał się celem jej życia. Był to Jerzy. Kolebka napełniła jasnością jej dni. Patrząc na wiszące u jej piersi chłopię, widziała świat cały, a gdy zapłakał, drżącemi rękami chwytała go w objęcia, utulając i pieszcząc bez końca. Schylona nad kołyską, wpatrywała się w swój skarb, a w przyszłości widziała go bohaterem, wielkim, wspaniałym.

Chłopiec podrastał w lata i odpłacał matce miłością za miłość. Prowadziła go swym wpływem, urabiając charakter za pomocą środków, które przeczuwała instynktowo. Jedna okoliczność tylko przerażała ją: ojciec psuł dziecko, bawiąc się niem. Uczył chłopca złości, wybiegów i kłamstwa. Zazdroszcząc żonie przywiązania, jakie w chłopcu ku sobie wzbudzić umiała, uspasabiał go ku niej ujemnie, pobłażając dziecinnym wybrykom, za które matka strofowała surowo. Raz wreszcie Jerzy, niezadowolony z jakiegoś zakazu, uderzył matkę, a gdy ta skarciła go doraźnie, chłopiec, zapłakany i wzburzony, uciekł się pod opiekę ojca, który, pieszcząc go i przyznając mu słuszność, zasiewał w młodej duszy nieufność ku najlepszej przyjaciółce.

Znosiła cierpliwie katusze, jakie zadawał ten człowiek jej samej, ale gdy chodzi o jedyne dziecię, zdobędzie się na energię konieczną. Czuła, że przy takim stanie rzeczy, charakter syna skrzywionym zostanie, a przytem ona sama straci jego serce, jedyne ogniwo, łączące ją z życiem.

I zrobiła krok stanowczy. Wyjechała z domu, uwożąc ze sobą dziecię, a w liście, do męża pisanym, zawiadomiła go, że, widząc złe wpływy, jakim chłopczyk ulegał bezwiednie, przenosi się do miasta, gdzie wychowaniem jego sama pokierować za-

skowemu telegraficznie rozkazał, ażeby postępował z największą energią. Odkomenderowano najpierw do szturmu 7 pułk piechoty i szwadron huzarów, podczas gdy marynarka pozostać miała w tyle dla obrony. Bitwa trwała przeszło dwie godziny, aż udało się zdobyć wejście na plac giełdowy z placu Rembrandta. Żołnierze zastrzelili 22 zbuntowanych, a 42 odniosło ciężkie rany. Z policyantów 4 rannych ciężko a 40 lekko, z żołnierzy jeden tylko został zranionym. Aresztowano bardzo wielu agitatorów, pomiędzy tymi przywódców anarchistów. Uwięziono także Eckhardta, u którego znaleziono pistolety i sztylety. Piechota i kawalerya powróciły dopiero we wtorek rano do koszar. Marynarka obozuje w dzielnicy robotników „Lindengracht,“ ażeby w zarodku przytłumić ponowienie rozruchów. Do króla wysłano do Loo szczegółowe sprawozdanie. Powstańcy w poniedziałek popełnili wiele gwałtów, wrzucili kilku policyantów do pwinic, inspektora policyi wpakowali do kanału i powybijali mnóstwo szyb wystawowych. Śpiewając pieśni rewolucyjne, uderzyli na biuro policyjne w Noordenmark, które obronione zostało przez samą policyę pod dowództwem jej prezesa Doesburgha. W dzielnicy Prinsengracht zabito 13 socyalistów, a zraniono 23. Liczba zabitych wynosić ma 30, a rannych 70.“

Uragan idzie pewną koleją. Z Francyi przeszedł do Belgii a teraz zwalił się na Holandyę. Przewidywać można, że jeśli nie nawiedzi w dalszym ciągu krajów sąsiednich, to przeleci na odległe i znowu sprowadzi go drobna okoliczność, jak iskra wybuch w prochowni. Bo dopóki nie przepalą się wszystkie fermenty społeczne w mocnym ogniu, nie przestaną podsycać wrzenia.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W dniu 8 sierpnia odbędzie się zjazd cesarzów austryackiego i niemieckiego w Gasteinie, przy spotkaniu tem obecni będą Bismark i Kalnoky. Treść narad na długo pozostanie tajemnicą, chociaż już teraz niektóre dzienniki starają się podnieść rąbek zasłony, za którą kryje się ona i twierdzą, że chodzi tu o przyłączenie Bośnii. W związku z tą sprawą ma być podobno podróż do Peterhofu arcyksięcia Karola Ludwika. Czy wiadomość ta sprawdzi się — trudno odgadywać, ale dziś już na pewno powiedzieć można, że szczególnie pomyślnych rezultatów podróż arcyksięcia nie przyniesie. Prasa niemiecka ubolewa, że opinia publiczna w Rosyi nie zwraca uwagi na ten fakt, świadczący o chęci nawiązania przyjaznych stosunków i oświadcza się wciąż przeciw Prusom i Austryi. Nawet p. Katkow wystąpił z artykułem o potrzebie zbliżenia się do Francyi, uwagi te jedynego dziennika rosyjskiego, mającego wpływ poważny w wyższych sferach, nabierają większego jeszcze znaczenia, wobec wiadomości o projektowanem spotkaniu p. Giersa z Freycinetem.

Prezes gabinetu francuskiego może tym śmielej przedsięwziąć krok samodzielny w polityce zewnętrznej, że ostatnie wybory do rad generalnych i okręgowych stwierdziły znowu usposobienie republikańskie większości narodu francuskiego. Jakkolwiek rady te mają znaczenie czysto miejscowe, wybory były bardzo ważne, ponieważ monarchiści wystąpili jawnie; zwycięztwo więc kandydatów republikańskich jest pewnego rodzaju votum zaufania dla rządu.

W ostatnich czasach zjawiły się pogłoski, że położenie księcia bułgarskiego bardzo jest niepewne. Do kłopotów finansowych przyłączają się polityczne, z których najważniejszym jest żądanie rewizyi statutu rumelijskiego. Niektóre dzienniki przebąkują nawet o zamierzonem jakoby zajęciu czasowem Bułgaryi przez wojska rosyjskie, na co podobno wszystkie mocarstwa już się zgodziły. Wiadomość ta byłaby prawdopodobną wtedy chyba, gdyby rzeczywiście przyłączenie Bośnii do Austryi zostało postanowionem.

Gabinet zachowawczy w Anglii sformował się już ostatecznie; ministeryum spraw zewnętrznych objął lord Iddesleigh, znany znany dobrze dawniej pod nazwiskiem Northcot'ea, uczeń Beaconsfielda i nieprzyjaciel Rosyi. Wicekrólem Irlandyi został młody lord Londonderry zacięty przeciwnik stronnictwa narodowego, mianowanie to nie zgadza się z zapewnieniami prasy zachowawczej, że Salisbury zamierza rozwiązać sprawę irlandzką polubownie, za pomocą reform niemniej szerokich, chociaż innych nieco, niż projektowane przez Gladstone'a. Przywódcy homerulerów dotyczas zachowują się wyczekująco, twierdząc, że każdy dzisiaj rząd w Anglii musi im poczynić ustępstwa, lud jednak gorącej bierze do serca sprawę swego wyzwolenia i burzy się; w wielu miejscowościach wybuchnęły dość poważne rozruchy, w Belfaście zaś odbyła się krwawa walka uliczna, najprzód z t. z. oranżystami, a później z policyą i wojskiem.

Burzą się i węgrzy, którzy z powodu zamianowania Jańskiego na wyższe stanowisko urządzają znowu zebrania ludowe i żądają już nietylko oddzielnej armii, ale nawet zupełnej odrębności państwowej z zachowaniem tylko unii osobistej. Dotychczas agitacya ta odbywa się względnie spokojnie, lecz jakiś drobny a nieprzewidziany wypadek może dać powód do poważnego starcia.

Walki uliczne w Amsterdamie nie powtórzyły się więcej, chociaż umysły ludności są ciągle podniecone przeciw rządowi. Z opisów gazet miejscowych okazuje się, że rewolucya łatwo mogła odnieść zwycięstwo, wojska bowiem było niewiele, lecz powstańcy nie posiadali broni lub nie umieli się z nią obchodzić. Wykazali oni jednak niezaprzeczone męztwo, na barykadach stali ludzie, trzymający czerwone sztandary, kule zmiatały ich ciągle i ciągle znajdowali się zastępcy, którzy szli na pewną śmierć.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA GNUŚNOŚCI.

II.

Nie potrzeba objaśniać, że mowa o chrystyanizmie. Autor pragnąłby go widzieć wybujałym i zakrywającym całą osobę człowieka, jak stepowe trawy. Chciałby nim zmiażdżyć hydrę, której jednym łbem— materyalizm, drugim — liberalizm, trzecim — socyalizm itd. Dziś bowiem idea Chrystusowa jest poniewieraną, wzgardzo-

mierza. Stary pan, obojętny i apatyczny na wszystko, co się nie tyczyło jego własnej osoby, odpowiedział szyderczo życzeniem powodzenia, dodając, że w obawie skandalu nie myśli zmuszać żony do powrotu, a w przewidywaniu potrzeb syna przeznacza sumę odpowiednią na ich zaspokojenie. Odrzuciła jego ofiarę i postanowiła sobie, że syn jej samej zawdzięczać wszystko musi; że własną pracą, pracą rąk zdobędzie środki niezbędne i że zmusi go kochać matkę, jeżeli nie przez skłonność wrodzoną, to przez wdzięczność za poświęcenie.

Teraz dopiero zaczęła się epoka istotnych ofiar. Widmo nędzy i głodu stanęło przed nią w całej grozie. Spieniężyła kilka drobiazgów i klejnotów, pozostałych po matce i puściła się na poszukiwanie pracy. Przypomniała sobie, że kiedyś, z nudów, zaczęła robić koronki i że to udawały jej się nadspodziewanie. Gorączkowo zabrała się do roboty, przeczuwając, że jeżeli zręczność jej palców nie odpowie oczekiwaniu — zerwie się nitka marzeń, a naga rzeczywistość zmusi ją do rozpoczęcia dawnego trybu życia, przepełnionego trwogą śmiertelną o dziecię.

Lat kilka upłynęło cicho, bezbarwnie, wśród trosk o chleb powszedni. Spędzała dnie i noce całe nad poduszką, najeżoną szpilkami, oplątanemi siecią nitek. Szczęśliwy zbieg okoliczności otworzył jej zbyt wyrobów, wykonywanych z gustem kobiecym, a desenie, przez nią wyrabiane odznaczały się artyzmem, spotęgowanym przez miłość.

Nieraz, w spóźnionej godzinie nocy, kiedy ręce bezsilne opadały, zwracała zaczerwienione oczy z pod nabrzękłych i krwią nabiegłych powiek na śpiącego obok syna, a widok jego świeżej, zarumienionej twarzyczki osłabionej nadmierną pracą dodawał siły. Wstawała wtedy pocichu, zbliżała się do skromnego łóżeczka, nachylała się nad śpiącym, a drżące usta szeptały słowa modlitwy i błogosławieństwa.

Pewnego poranku odebrała list z czarną pieczęcią. Donoszono jej o śmierci męża, zmarłego za granicą, w pogoni za jakąś tancerką. Teraz syn jej jest bogatym i niezależnym. Zataiła przed nim wiadomość o spadku, chcąc w zupełności mieć zasługę w wykierowaniu go na człowieka. Gdy skończy szkoły, gdy przez jej pracę zdobędzie stanowisko, przekona się, ile matce zawdzięcza, wtedy odda mu ona majątek nietknięty do rozporządzenia, a będąc pewną jego serca, będzie mu pociechą i uciechą w chwilach zwątpienia i goryczy.

Jerzy zmężniał i dojrzał; a kiedy po skończeniu studyów dowiedział się o poświęceniu i ambicyi matki, kiedy wysłuchał jakich środków użyła dla przywiązania go do siebie, przysiągł sobie, że będzie nikczemnym, jeżeli nie zapłaci jej sercem za serce, jeżeli nie da jej zapomnieć, że miała w życiu czarne godziny.

Tak marzyła staruszka, a wzrok jej spoczywał na portrecie młodzieńca, stojącym na kominku.

A teraz... czyż nie może się nazwać szczęśliwą w całem znaczeniu tego wyrazu? Pozostało jej lat parę do końca, ale jakież to lata świetlane! To, co bolało— przebolało, a zadowolenie ze spełnionego obowiązku i miłość jedynaka zapewniają jej starość czarowną. Jerzy widzi w niej przyjaciółkę i powiernicę; ma go przy sobie, a kiedy wraca późno, wstępuje do jej pokoju powiedzieć jej raz jeszcze, że ją kocha. Otoczył ją atmosferą bogactwa i zbytku, jakby chcąc wynagrodzić lata pracy i niedostatku, lata trosk i niepokojów.

A jednak.. od pewnego czasu zmienił się nieco. Wraca zasępiony i nieswój, a gdy ona składa pocałunek na jego jasnem czole, zdaje jej się, że Jerzy odbiera go nieśmiało, jakby się nie czuł godnym dotknięcia ust matki. Niedomyślna! egoistka! przyszedł czas, kiedy gniazdka mężczyźnie potrzeba. Jakiż on dziecinny, ten Jerzy! obawia się może, że będzie zazdrosną. Bynajmniej; poprosi go o mały kącik w jego sercu, a przyszłą jego żonę przyciśnie z wylaniem do serca i zdobędzie miała dwie istoty drogie na ziemi.

Odgłos kroków w sąsiednim pokoju zwrócił jej uwagę. Służący wniósł dwie

ną i ze wszystkich stanowisk rugowaną przez zaciekłą propagandę zniszczenia i nienawiści. Tylko ewangelia pozwoli dziejom popłynąć „spokojnym i bez porównania szczęśliwszym gościńcem.“ Przeklęte zaś hasło pogańskiego postępu jest źródłem wszystkich klęsk ludzkości, które potęgują jeszcze „poczciwe acz zbłąkane istoty, co tam spiskują, gdzieś po lodach piwnicznych... i pod strzechy prostaków roznoszą dysangelię.“

Ale oto punkt najważniejszy: „tylko przekonanie o celowym ustroju świata, tylko wiara w rozum i sprawiedliwość przedwiecznej jego zasady, tudzież w pośmiertny rozwój człowieka... może postęp zwrócić z tej pochyłości fatalnej, na którą go popchnął materyalistyczny duch wieku.“

Nie można dostrzedz fanatyzmu w apostolstwie autora, albowiem jest to kres odległy, do którego on po „pochyłości“ dzisiejszej swojej wiary najoczywiściej się stacza—ale jest tam zapału dosyć, by sprowadzić zapomnienie tego, co się powiedziało o kilka stronic wyżej i co stanowi cały podkład krytyczny dzieła, by obrócić w niwecz całą dotychczasową rozprawę.

Tam świat to prawdziwy *lacrymarum vallis* — tu w zwierciadle chrześciaństwa— nęci spokojem; tam niemasz postępu ani sensu w przewrotach społecznych, tu za bramami doczesności rozwój człowieka, tam orgia ślepej natury i dzikich porywów człowieka, tu rozum, sprawiedliwość i celowość.

Innemi słowy, potęga twórcza albo rozpoczyna swoje istnienie dopiero u wrót zaziemskości, albo — jeśli datuje go wcześniej — to umywa ręce od gladyatorskich zapasów na ziemi i na opróżnionym tronie swoim sadza przypadek, a z chwilą przekroczenia przez człowieka granicy życia, oddaje się cała na usługi wiernych.

Tym sposobem w naukę o przyczynie wszechrzeczy wprowadzoną zostaje podwójna buchalterya, wedle której wszystko jest najgorszem w doczesnym bycie, a mądre i pożądane w zagrobowym. Jak połączyć tę obojętność dla żyjących i czułą pieczołowitość dla zmartwychwstałych z zasadniczym we wszelkiej filozofii, szkolnej czy domorosłej, zadaniem jedności w idei bóstwa — na to trudno zaiste znaleźć w państwie logiki odpowiedź — jedynie autor mógłby ten węzeł rozdzierzgnąć. Niechaj sprobuje on zajść już nie do gabinetu mędrca, ale pod strzechę *prostaków*, nad którymi tak się lituje i wyłożyć naukę, że jest Bóg, który ma dla umarłych wszystko, a dla żyjących nic — wątpię, czy mu uwierzą — a jeśli uwierzą, to z konsekwencyą większą niż jego, przeniosą natychmiastową śmierć.

Gdyby p. Dębicki proponował wszystkim wejść na łódkę Charona i przejechać się do Erebu, nie dziwiłoby nas — gdy każe klękać przed ołtarzem, który sam pokalał — śmiać się chce. Wszelka beznadziejność prowadzi do samobójstwa — i przeto naturalnym epilogiem wszystkich wędrówek po czyśćcu ziemskim jest nicość; myśliciel, który z nich inną wyciąga naukę — nie jest pesymistą. Widzieć zbawczą kotwicę w spotęgowaniu tych wierzeń, które dla autora są jedynym godziwym wyrazem wszelkiej religii, jest to patrzeć na świat i dzieje nie przez czarne, lecz przez różowe szkła. Jeden z krytyków Hartmana, Hans Vashinger, natrząsając się z jego trzech stanów illuzyi — nazywa ów wrzekomo upragniony akt powszechnego samobójstwa i ubezwładnienia nieświadomej woli „czwartą illuzyą“. P. Dębicki żywi wprawdzie tylko jedną, ale starczy ona za cały tuzin.

Niedaleka przeszłość i niewesołe dziś nielitościwie szydzą z tak zachwalanego środka na społeczną niemoc. Gdyby on działał w istocie, tysiąc lat, dzielących świat klasyczny od urodzenia Europy, byłby szczytem szczęśliwości najpromienniejszą kartą w księdze historyi, koroną cywilizacyi. Z tego punktu widzenia teraźniejszość byłaby wielkim krokiem wstecz, a przyszłość jej śladem idąca—hańbą ludzkości.

W rzeczy samej oglądamy się po za siebie, ale het, daleko, aż na dobę kultury greckiej. Tam dopiero spotykamy to, za czem gonić warto — spokój i równowagę ducha, stamtąd czerpiemy najlepsze wzory; tym „poganom“ i „bałwochwalcom“ zazdrościmy szczęścia — i słusznie. Helen szedł przez życie odważnie, umierał mężnie, a myśl o śmierci lub świadomość nicości nie wprawiała go w konwulsye małodusznego strachu. Madejowego łoża za każdą śmielszą myśl w tem życiu powziętą nie obawiał się, za wielki czyn nagrody nie oczekiwał, był duchem wielki, rządził się szlachetniejszą etyką — w Hadesie było mu mdło, tak iż wolał być ostatnim pod słońcem, niż pierwszym między cieniami— pokój braci na ziemi i sława po zgonie — były dostateczną zachętą dla najpoetyczniejszego bohaterstwa.

Gdyby jakaś nadprzyrodzona dłoń mogła wymazać z przeszłości epokę klasycyczyzmu i zetrzeć z oblicza ziemi buddaizm, gdybyśmy nie znali świetlanego zarania w historyi czcicieli słońca i tylu innych pogodnych kultów, wówczas mielibyśmy prawo chwycić się prawd wniebowziętych przez autora, i w nich tylko zbawienia, szczęścia i spokoju szukać. Ale dzieje, ten jedyny kompas dla filozofa, jak i dla socyologa, uczą, że one mniej od innych sprzyjały szczęściu, a bardziej cierpieniu, mniej światłu, a więcej ciemności, mniej powszechnej miłości, a bardziej Kainowym porywom.

Oaza, na której autor chce znaleść schronienie w wędrówce po bezbrzeżnej pustyni niedoli, to złudne *fata morgana* znużonego pielgrzyma; jeżeli tam są krzewy, zachwycające oko zielenią, to w nich kryją się bazyliszki, jeżeli są strumienie, wabiące spragnionego, to zatrute i pełne gadów. Autor jest na przełomie. Najlepszy wzrok dojrzy, że umysł to niegdyś śmiały, którego analiza jednak dosyć rychło zmogła, zmęczyła i prze do spoczynku; w znużonej wyobraźni lęgną się chorobliwe widziadła, zdaleka ponętne, zblizka niebezpieczne. Trochę więcej hartu, a wyszedłby zeń dzielny bojownik postępu: są tam aż nadto widoczne zdolności kacerskie, obok których dziwnie wygląda nawoływanie do chrześciańskiego... kwietyzmu.

Tak jest, tylko tę formę religijnej pociechy autor widocznie ma na myśli — o „postępie“ bowiem spokojnym, który obiecuje on, w podobnych warunkach ani marzyć — tylko z kwietyzmem na zasadzie wszystkiego, co się rzekło wyżej, daje się jako tako pogodzić namiętna krytyka naszego życia — w nim znajduje się oddźwięk ninoanizmu, stopniowego i powolnego dogasania iskry Bożej, która według wyrażenia Fichtego, tli się w nas.

Witamy przeto pierwszego *na gruncie naszym* apostoła *opuszczenia rąk* — czy z radością — to rzecz inna, w każdym razie bez obawy, albowiem książka p. Dębickiego nie jest ani dla optymistów, ani dla pesymistów niebezpieczną; ci, jak i tamci przeniosą zawsze zmudną pracę nad bierny

---

zapalone świece i podał pani bilet wizytowy, oświadczając zarazem, że oddawca biletu pragnie się niezwłocznie z nią widzieć.

Staruszka zbliżyła kartę do osłabionych oczu.

— January N. — przeczytała ze zdziwieniem — nie znam. Czy pan Jerzy jest u siebie?

— Nie, pani.

— A więc proś tego pana.

Po chwili January ukazał się na progu salonu.

Staruszka wskazała mu krzesło i, siadając na zwykłem swem miejscu, przed kominkiem, oczekiwała wyjaśnienia celu niespodziewanych odwiedzin.

Przybyły spoglądał przez chwilę na nią niespokojnie. Z trudnością przystępował do spełnienia swego zadania: miał przed sobą kobietę, pędzącą dnie cicho i gładko; przyszedł zburzyć ten spokój, uderzyć piorunem w tę siwą głowę...

— Cel mojej wizyty — rzekł po chwili — stanie się za chwilę wiadomym. Nieznając mnie, musisz pani zawierzyć pierwszemu popędowi, który orzeka, czy człowiekowi obcemu zaufać można, czy nie. Proszę mi wierzyć, że jedynie przyjaźń dla Jerzego i obawa o niego spowodowały mnie do wezwania pomocy pani w sprawie, gdzie na jej wpływ rachować mogę. Jerzy jest w niebezpieczeństwie...

Staruszka zerwała się z siedzenia gwałtownie. Szeroko rozwarte jej oczy wpijały się w Januarego, jak sztylety.

— Jerzy w niebezpieczeństwie?! Nie rozumiem.. tłomacz się pan jaśniej! Na Boga! może ranny, zabity... ależ niepodobna, przed paru godzinami widziałam go... O, moje dziecię!

— Uspokój się, pani... Niebezpieczeństwo jest innej natury. Jerzy ma się jaknajlepiej, o czem w każdej chwili przekonać się pani możesz.

— A więc?..

— Miałem zaszczyt powiedzieć pani, że jestem jego przyjacielem; gdyby mu groziło fizyczne niebezpieczeństwo, nie widziałabyś mnie pani przed sobą, lecz u jego boku. Ale wisi nad nim inne, które pani zażegnać możesz, i w tym właśnie celu przyszedłem.

Matka odetchnęła głęboko; złożyła ręce jak do modlitwy; pytającym wzrokiem naglila przybysza do jaśniejszego tłomaczenia się.

— Przed kilku miesiącami — ciągnął January — Jerzy poznał kobietę, którą... pokochał.

— Niepodobna, panie. Posiadam zaufanie mego syna i przypuszczam, że podzieliłby się ze mną tą wiadomością.

— Tem gorzej; jeden to dowód więcej, że wstydzi się sam siebie, a jednak ulega namiętności. Zresztą nieszczęście mieć chciało, że kobietą tą jest istota, której wspomnieniem nie bruka się czystej duszy matki.

Na twarzy staruszki odmalował się wyraz wstrętu.

— Wybacz pan, ale to, co mówisz, jest tak dla mnie niespodziewanem, że dotąd uwierzyć temu nie mogę. Twierdzisz, że Jerzy był w stanie pokochać kobietę podobną. Mylisz się pan. Natura mego syna jest zbyt szlachetną, aby mógł uczuć dla ulicznicy coś więcej nad pogardę... litość może...

— Zapewne, masz pani może słuszność co do wyrazu, ale jesteś w błędzie co do istoty rzeczy. Miłość — cofam to słowo w określeniu stanu duszy Jerzego — zdolną jest wzbudzić tylko porywy wzniosłe i dodatnie; zresztą, miłość musi być opartą na szacunku, który zajmuje jej miejsce po niejakim czasie. W tym jednak razie rzeczy się mają gorzej: Jerzy kocha tę kobietę nie miłością, lecz szałem, a wierzaj mi pani, o ile miłość robi nas zdolnymi do bohaterstwa, o tyle szał pobudza do czynów heroicznych, lub prowadzi do... spodlenia.

(D. n.).

spoczynek, bo wyśledzą w autorze pyszny okaz optymisty, wpadającego w różową ekstazę na wspomnienie o kapłaństwie.... i jego cudownym balsamie ukojenia.

P. Dębickiemu nie brak towarzyszów i poprzedników. Lat temu kilka, anglik Mallock zadziwił czytający ogół utworem tej samej treści p. t.: „Czy się opłaca żyć,“ gdzie barwnie odmalował smutki tego żywota i kazał nawrócić się do godła: *credo quia impossibile est.* Wrzawa jednakże rychło ucichła i dziś nie wiem, czy w kilku narodach, które przekładem Mallocka literatury swe zbogaciły, jest choć jedna osobistość, na powierzchni zabałwanionych wód utrzymująca się przy pomocy schwytanej brzytwy...

Nie więcej groźne są wycieczki p. Dębickiego przeciw prawdzie faktycznej. W swej nieopisanej trwodze mści się on na socyalizmie i liberalizmie i wyprowadzając je w prostej linii od materyalizmu, czyni odpowiedzialnymi za wszelkie zło.

A więc owi szlachetni szermierze swobody ducha, którzy wszelkie jarzma i kajdany mają za poniżające godność człowieczą i wierzą, że, wyjęty z pod brutalnej opieki, umysł sam znajdzie drogę do szczęścia — są materyalistami. A więc owa wielka gromada zapaleńców i marzycieli, którzy zapominają o wilczych instynktach ludzi i chcą zrobić z nich łagodne owce, którzy wierzą, że kiedyś będzie „jedno stado,“ a gwałt, zawiść, chęć wyniesienia się i inne dysangelii czynniki znikną — są materyalistami.

Doprawdy, oburzać się na autora trudno, ale wypada żałować, że tym niewinnym, bo za ultramontanizmem po raz tysiączny powtarzanym pacierzem, kala wielką pamięć Chrystusa, wroga faryzeuszów. Biedny Fourrier, biedny Saint Simon!

Jeden z chwalców p. D., liczy mu za zasługę, że *błyska* trzydziestu nazwiskami ludzi wielkich nauką, jak bezstronnością sądu (znam w pewnych dzielnicach naszego miasta mężów w długich... togach, którzy na ulicy lub w kramach dla zachęcenia bibliofilów błyskają *trzystu* podobnemi nazwiskami, a przecież nikt im za to panegiryków nie tworzy); ale widać nie dosyć jest tej uczoności dla uniknienia rozbratu z najelementarniejszą prawdą rozbratu, w którym najcenniejszy pierwiastek chrześciaństwa — jego etyka — został lekkomyślnie podeptany nogami.

Nie wchodzimy w inne wybryki fantazyi p. Dębickiego — bo i tych zdaje się dla ogólnego z jego dziełem obrachunku aż nadto. Pod skrzydłami krytycyzmu rozpoczęte, we wnioskach swych zawodzi ono oczekiwania i roszczeń poważniejszych mieć nie może, ma natomiast pewne znaczenie ogólno-literackie — jest odbiciem ducha czasu, który, jak dotąd nigdy, do wszystkiego przykłada miarkę szczęścia i uświadamia wielkie, czarne plamy na słońcu naszego żywota.

Praktyczna wartość „Chłodnych uwag“ jest prawie żadna — skoro bowiem fatum złego ciąży nad nami — a to niezbicie wypływa z dziełka — zapytujemy z Seneką, co pomoże nam wszelka filozofia?

Pod tym względem p. Dębicki dzieli los wielu znakomitszych od niego umysłów. Wszelkie budowle, zlepione goryczą lub słodyczą, zazwyczaj do wesołości pobudzają: Condorcet wróży nieskończone przedłużenie życia, anglik Godwin zupełny tryumf ducha nad materyą i ustanie płodności, Hartmann przepowiada, że sobie wszyscy nóż do gardła przyłożą, a... p. Dębicki zbiera ludzi w kupę, otacza ich nieskończenie grubym murem kościelnym i nakrywa dachem z wieżycami gotyckiemi, w nadziei, że one zatamują złemu przystęp do serc ludzkich.

Cezary Jellenta.

ZAGADKA OKRESU LODOWEGO.

Zwiedzając w porze obecnej tak europejskie jak i po za Europą leżące wzgórza i góry, spotykamy się częstokroć ze szczególnym rodzajem wędrowców. Na pierwszy rzut oka poznajesz w nich zaraz uczonych: przebywają oni dolinę we wszystkich kierunkach, przechodzą od jednego brzegu strumienia do drugiego, od czasu do czasu zapisują coś w notatniku i jeżeli są we dwóch, to nierzadko słyszymy jak mówią do siebie o „płonnych poszukiwaniach“ lub o „niewątpliwych śladach.“ Czego oni szukają? Nie roślin — jak botanicy, nie zwierząt — jak zoologowie i nie kamieni — jak mineralogowie. Szukają oni czegoś więcej, czegoś, co już dziś nie istnieje i co o minionem istnieniu swem daje znać za pomocą niewyraźnych śladów. Wędrowcami tymi są geologowie, albo lepiej może — *badacze historyi*, gdyż celem ich poszukiwań są dzieje powierzchni ziemskiej, albo ściślej: historya jednego ich okresu; ginie on w odległej przeszłości, ale „gdzie milczą ludzie, tam mówić będą kamienie.“

Okresem tym jest wiecznie jeszcze pełny zagadek dla nas — okres lodowy, epoka, w której cała powierzchnia ziemi szeroko i daleko, tam mniej, owdzie więcej, krzepła pod lodem, tak, jak się to obecnie na ograniczonych tylko zdarza przestrzeniach. Nie o wiele dawniej, niż przed laty dziesięciu, widzieliśmy, jak uczeni wszystkich krajów poszukiwali śladów tego czasu, który pozostawił nam swe piętno lodowe, obecnie zaś mamy już dzieła i karty, oznaczające zakres lodowców Europy i Ameryki północnej.

Zrozumiałem jest, iż jednocześnie z nagromadzeniem danych faktycznych, dotyczących owego okresu, wzmogło się też pragnienie teoretycznego wytłómaczenia przyczyn zjawiska; jakoż mamy obecnie przed sobą dwie tego rodzaju próby teoretyczne.

Aż do czasów ostatnich zadawano sobie pytanie, jak to objaśnić, że w przeszłości, kiedy przecie cieplej było niż dzisiaj, mógł być okres tak silnych chłodów. Jakie niezwykłe okoliczności, czy też siły, wywołać mogły tak gwałtowne zboczenia w miarowym rozwoju ziemi? Zobaczymy wkrótce, iż samo już postawienie zagadnienia w sposób powyższy było fałszywe i dawało powód do nieporozumień. Najrozmaitszemi drogami szukano odpowiedzi na powyższe pytanie. Cały układ słoneczny — powiadali jedni — a z nim, rzecz jasna, i nasza ziemia przez ciąg wieków i tysiącoleci pędzi po przestworzu. Ponieważ zaś gwiazdy w ruchu tym uczestniczą nierównomiernie, przeto muszą być w przestrzeni okolice cieplejsze i bardziej chłodne: za Italią niebo — musi iść niebieska Syberya i dla rozwiązania zagadki potrzeba tylko przypuścić, iż w swoim okresie lodowym ziemia przebywała taką właśnie Syberyę. Inni znów, przeciwnie, zwracali uwagę na to, iż stosunek powierzchni mórz i lądów nie zawsze był takim jak dzisiaj, kiedy na północnej półkuli przeważa obszar lądów, na południowej zaś — Ocean. Wskutek nachylenia ziemi względem płaszczyzny jej drogi stosunek ów musiał się zmieniać w ciągu dłuższych okresów, aż nadchodził wreszcie czas, kiedy półkula północna większą miała powierzchnię wodną, niż południowa. To też — o ile rzecz dotyczy Europy lub Ameryki północnej, ówczesne zarysy obszarów wodnych dają się wyśledzić dość dokładnie: w Niemczech np. rozciągały się one od Kolonii do północnego brzegu Harcu, dalej przez Turyngię i Saksonię aż do szląskich odnóży gór Olbrzymich. Wiadomo zaś — tak utrzymywano dalej—iż klimat morski nie jest tak zmienny jak lądowy, zdarzało się przeto, że nawet latem śniegi całkowicie tająć i znikać nie mogły. Jeszcze inni myśleli znów o wpływie Golfstremu, który później dopiero brzegów Europy dosięgnął, albo też o wpływie Sahary, która podówczas była olbrzymiem morzem.

Na korzyść każdego z powyższych objaśnień możnaby coś przytoczyć, ale naprzód hipotezy, będące ich podstawą, są zbyt chwiejne, a następnie wszystkie one nie wystarczają do zrozumienia okresu lodowego w całej jego rozciągłości. W każdym zaś razie muszą ustąpić wobec świetnego wyjaśnienia, zaznaczonego najprzód przez szwajcara de la Rive'a, obecnie zaś jednocześnie i niezależnie rozwiniętego przez dwóch uczonych: włocha — Blasernę i amerykanina Beckera.

Jak w wielu zagadnieniach, tak też i tutaj — jajkiem Kolumba nie jest rozstrzygnięcie, lecz *postawienie* pytania. Zdawałoby się, iż całkiem naturalnie można się zapytać: dla czego wówczas było tak zimno? Pytanie to wszakże jest w wysokim stopniu niestosowne. Domyślnie (milcząco) zawiera już ono w sobie pewne przypuszczenia, tymczasem przypuszczeń takich nie można robić, zwłaszcza w tak zawiłych, jak obecne, zagadnieniach naukowych. Czy wogóle było wówczas *chłodniej?* Takiem powinno być brzmienie zapytania; jak zaś dalece jest ono prawowitem, przekonamy się, słysząc, iż odpowiedź na nie będzie *przecząca*. Nie było wtedy chłodniej, czasami zaś nawet temperatura bywała wyższą. Stopniowe, powolne ochładzanie się naszej ziemi ani wówczas, ani kiedyindziej nie doznawało przerw i wstrząśnień. Krótki wykład usunie tu wątpliwości.

Jaki jest niezbędny warunek tworzenia się wielkich mas lodu, powstawania lodowców? Bezwątpienia *zimno*; ale jest ono tylko jednym z dwóch, jednako niezbędnych warunków, drugim jest *ciepło*. Aby to zrozumieć, uprzytomnimy sobie tworzenie się lodowca. Rozpatrując kawałek wziętego zeń lodu okiem uzbrojonem w mikroskop, spostrzegamy, iż przejrzyste to ciało tworzy się z nieprzezroczystych cząsteczek *śniegu*. Cząsteczki te zespalają się tak ze sobą pod wpływem *ciśnienia* — olbrzymiego ciśnienia, jakiemu np. podlegają dolne warstwy śnieżne, znajdujące się na górach alpejskich. Takie wytwarzanie się lodu możemy naśladować sztucznie, ściskając gomółkę śniegu rękami — albo lepiej jeszcze — pod prasą. Z ciśnienia wywiązuje się ciepło, tak iż śnieg taje, ale topniejąc, pochłania on znów wywiązane pod wpływem ciśnienia ciepło i staje się lodem. Podobnie ma się rzecz na wysokich górach, gdzie śnieżne łany, lodowce, lodozwały graniczą ze sobą. Ale kiedy dolny brzeg olbrzymiego lodowca, osuwając się zwolna, dosięga już podnóży górskich, brzeg jego wyższy ze śnieżnych łanów nowe ma pożywienie; śniegów zaś dostarcza skroplona i zamrożona w atmosferze para wodna, która do górnych stref oczywiście inaczej dostać się nie mogła, jak tylko przy udziale słonecznego ciepła. Tak więc, wytwarzaniu się lodowców ani bardzo zimny, ani też gorący klimat nie sprzyja; pierwszy uniemożliwiłby parowanie wody, drugi uczyniłby niemożebnem skraplanie się tejże pary. Jedynym więc odpowiednim tutaj klimatem jest *umiarkowany*; takim właśnie był klimat okresu lodowego.

Tyle co do warunków ogólnych. Wypadki szczególne, dotyczące gór pojedynczych, większą odznaczają się zawiłością. Tak np. pytanie, przy jakiej temperaturze najobficiej wytwarzają się lodowce, rozstrzygać trzeba w zależności od dwóch czynników: 1) od odległości i obszaru powierzchni wodnej, 2) od rozmiarów płaszczyzny śnieżnej, dającej początek lodowcom, a więc od kształtu góry. W miarę tego jak większym jest wpływ pierwsze

go lub drugiego z tych czynników, będziemy mieli wyższą albo niższą temperaturę najobfitszego tworzenia się lodowców; góra w pierwszym wypadku wcześniej, w drugim zaś później przebywać będzie swój okres lodowy. Takie np. wyniosłości jak Montblanc albo Alpy Berneńskie, mające boki pionowe i zakończone na wierzchołku płaszczyzną, bardzo wcześnie już i przy temperaturze stosunkowo wysokiej przebywały swój okres lodowy, tak, iż jeśli nawet linia śnieżna, ciągnąca się obecnie na wysokości 2,800 metrów—leżała wówczas o jakie 1,000 lub 2,000 metrów wyżej, to — z powodu prostopadłych boków góry—okoliczność powyższa nie wiele wpływała na obszar śnieżnego pola, dającego początek lodowcom. Pole to było wówczas nie o wiele mniejsze niż dzisiaj; z drugiej zaś strony wyższa temperatura znakomicie powiększała obfitość osadów i lodowce wytwarzały się też na większą skalę niż dzisiaj. Ciekawą jest rzeczą, jak mała nawet różnica w temperaturze znaczny wpływ mogłaby wywrzeć na szybkość powstawania lodowców. Wyobraźmy sobie, iż podniesienie temperatury tylko *o dwa stopnie* podwoiłoby w ciągu lat pięćdziesięciu obszar lodowców Montblanc, zaś po latach 2.500 zwiększyłoby wytwarzanie się ich 100 razy, po latach 50,000 obszar ten wzrósłby 1.000 razy —tak iż lodowce spuściłyby się w dolinę Aosty, zajęłyby zachodnią Szwajcaryę i północne równiny Włoch. Takie zaś podniesienie temperatury o 2 stopnie przypada właśnie na epokę nie o wiele dawniejszą; to też powiedzieć można, iż upłynęło mniej więcej od 500—1,000 wieków od czasu największego rozkwitu lodowców Montblanc. Inaczej być musi z górami, których kształt jest stożkowaty, co spotykamy np. w wyniosłościach wulkanicznych. Tutaj, wraz z opuszczaniem się linii śnieżnej, spostrzegamy znakomite powiększenie się powierzchni śnieżnych obszarów, tak, iż ten wpływ dodatni równoważy sobą ujemne wpływy obniżania się temperatury. To też takie góry jak Etna, Himalaje, Andy południowo-amerykańskie, o wiele później przebywały lub przebywają jeszcze swój okres lodowy.

Charakter powierzchni, ciepło promieni słonecznych, wiatry — wszystko to również ma zajmującą nas sprawę wpływ pewien wywierało. Istnieć też mogą takie wyniosłości, których okres lodowy trwa jeszcze, gdyż nieprzyjazny wpływ obniżającej się temperatury równoważy się tam innymi wpływami. Zdarzyć się również może, że lodowce czerpiąc swój pokarm już to z płaszczyzny górskiej (plateau), już z powierzchni stożkowatej —równocześnie się wytwarzają na jednej górze. Poszukiwania czasów obecnych nadają temu przypuszczeniu wielkie prawdopodobieństwo.

Dość, że — o ile wiadomo — okres lodowy nietylko że nie był zjawiskiem niezwykłem w rozwoju kuli ziemskiej, lecz stanowił przeciwnie pewien określony i niezmiernie ciekawy moment w dziejach powolnego ostygania ziemi. Zajęcie, jakie on w nas budzi, przez to jeszcze się zwiększa, iż dla Europy środkowej była to właśnie epoka pierwotnego dzieciństwa rodzaju ludzkiego. Człowiek mógł wówczas trzymać się zdala od wielkich okręgów lodowych, ale istniał już wtedy i, jak wiemy, nie zawsze znosić musiał lodowate zimno; czasem bywało mu nawet cieplej niż za dni dzisiejszych.

Wedł. *A. Bauera.*

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Drezno, lipiec, 1886.

II.

Grecya w Berlinie.— Niemiecki typ dwojaki. — Czarni i biali. — *Revue coloniale.* — Lavisse o niemcach i jamnikach. — Wojna domowa z wyrazami obcymi.— Najnowsze książki: Mommsena, Gneista, Ebersa, Behaghela, Langa. — *Pan Tadeusz* po angielsku. — Buchholzowie w domu i za domem. — Statystyka łużycka. — Jednota czesko-słowiańska w Pradze.

Uroczystość otwarcia wystawy obrazów w Berlinie ubrano w greckie szaty. Był tam i pochód z królem Attalem, kapłanami, wojskiem, jeńcami i igrzyska olimpijskie i składanie ofiar bogom i nawet pantomimiczna offenbachiada, w rodzaju *Orfeusza* lub *Pięknej Heleny*, na szczęście bez muzyki, zatytułowana: „Rzeźbiarz z Tanagry“; lecz że całą tę maskaradę znam tylko z opisów dziennikarskich i opowiadań świadków, więc ograniczam się na kronikarskiej wzmiance o niej, dodając, iż ci ostatni byli z owego festynu greckiego bardzo radzi.

Musiano chyba staranie dobierać i wybierać fizyognomie i postawy, ażeby choć trochę utrzymać złudzenie: bo któż na świecie mniej podobnym jest do starożytnego greka od niemca dzisiejszego.

Jednakże skoro mówimy o niemcach, o typie niemieckim, to nie trzeba sobie wyobrażać, że jest on jednolitym, jednym. Przekonywa o tem nietylko widok codzienny, ale i ciekawe dostrzeżenia naukowe, ogłaszane niedawno w Virchowa *Archiv für Anthropologie.*

Przywykliśmy jako typ niemca i niemki wyobrażać sobie postać rosłą, długoręką, wielkonogą, o dużej, podłużnej głowie, porosłej jasnymi lub rudawymi włosami, obdarzonej blado - niebieskiemi oczami i przerosłą dolną szczęką. Że tak najczęściej wyglądają najbliżsi nas geograficznie niemcy, tego zaprzeczyć nie można. Ale gdy się mówi o całym ich narodzie, typ ten przestaje być odpowiednim, albo raczej nie wystarcza, bo jest jeszcze drugi, bardzo od tego odmienny i jest trzeci, będący zmieszaniem dwóch innych.

Ktokolwiek przez czas dłuższy przebywał w Niemczech południowych, mimowoli czynił spostrzeżenie, iż tam się spotyka stosunkowo mało tych krzyżackich facyat, do których my u nas i w wyobrażeniach naszych przywykli. Najnowsze prace antropologiczne stwierdzają to spostrzeżenie i dają możność ustalenia jego i oparcia na statystyce.

Dawniej już zauważono, że i w budowie czaszek niemieckich wyróżniają się bardzo widocznie dwa typy: wielkogłowy i małogłowy, z licznymi stopniami przechodnimi od pierwszego do drugiego. Na tem spostrzeżeniu oparto nawet teoryę etnograficzną, dowodzącą, iż niemcy dzisiejsi są mieszaniną dwóch ras: aryjskiej (wielkogłowej) z nieznajomą nam bliżej inną (małogłową). Jakkolwiek teorya ta, podtrzymywana przez Penkę i innych, wiele nasuwa wątpliwości, z tego względu mianowicie, iż aryjczykami *par excellence* mianuje typ skandynawski (jasnooki, jasnowłosy, długogłowy), gdy właśnie znani nam z dziejów najczystsi aryjczycy, jak grecy i rzymianie, do wprost przeciwnego typu należeli (czarnookiego, czarnowłosego, krótkogłowego); ma ona jednak wiele prawdopodobieństwa w głównej swej zasadzie: że ludność Europy powstała z mieszaniny dwóch plemion odrębnych, które dla krótkości nazwać można czarnem i białem (czarnowłosem i jasnowłosem); nie należy tylko upierać się przy przyznawaniu aryjskości jednemu z nich, bo zagadnienie to dziś jeszcze rozwiązać się nie może.

Praca w Archiwum Virchowa, o której wspomniałem, opiera się na zbadaniu siedmiu blisko milionów dzieci niemieckich, uczących się w szkołach. Okazuje się, iż (nie licząc żydów) *białych* w tej liczbie jest nieco więcej nad dwa miliony, *czarnych* prawie jeden milion, *mieszanych* przeszło trzy i pół miliona. Lecz najciekawsza to, że typy te nie siedzą jedne obok drugich na całej przestrzeni Niemiec, lecz zajmują odrębne obszary geograficzne. Granicą ich jest, mniej więcej, rzeka Men. Północo-zachód należy przeważnie do białych, południowo-wschód do czarnych. Bliżej rzecz określając, tak się ona przedstawia: W Niemczech północnych znajduje się przeszło trzecia część jasnowłosych, czyli białych; w środkowych — czwarta; w południowych przeciętnie piąta, w niektórych okolicach spadająca na 14,7% (jak np. w Bawaryi górnej). Czarnych przypada na Niemcy północne od 7 do 11%; na środkowe 12 do 15%; na południowe 15½ do 25%. Reszta należy do typu mieszanego. Niewątpliwą więc już dziś jest rzeczą, że ludność niemiecka złożyła się z dwóch plemion odrębnych, które, po złączeniu się, wydały nowy, obecnie najliczniejszy typ mieszany, obok którego w znacznej ilości przechowały się znamiona oryginalności pierwotnej.

Ponieważ zaś we wszystkich innych krajach Europy widzimy podobnież trzy typy, wnosić przeto wolno, że całą naszą część świata zamieszkiwała pierwotnie jedna rasa, z nią się zmieszała potem przybywająca druga i wydała trzecią: która z dwóch pierwej w Europie mieszkała, to nie łatwo rozstrzygnąć.

Czy i do jakiego stopnia ludność Europy była mieszaną w przeszłości, to należy do zagadnień naukowych; lecz że obecnie Europa uczuwać się zaczyna jako ciało jednolite, na to dowody mnożą się codziennie. Mamy już początę międzynarodową; sławny Virchow zamierza założyć wielkie stowarzyszenie międzynarodowe, coś na kształt szlachetnej, ale bezsilnej ligi genewskiej: celem jego będzie pielęgnowanie i rozwijanie spraw i uczuć międzynarodowych, wszechludzkich, łagodzenie wybujałych nieprzyjaźni sąsiedzkich, dążenie do pokoju świata, o jakim marzyli Henryk IV i Kant. Posiadamy już niejedną bibliotekę międzynarodową, czasopisma lingwistyczne takież; zjazdy uczone przybierają również znamiona wszechświatowe. Obecnie do szeregu tych pięknych objawów przybywa miesięcznik, który, jeśli się powiedzie, odda ogromne usługi nauce, handlowi i zbliżeniu narodów. Mówię o zamierzonym przez Brockhausa miesięczniku *Revue coloniale*; ma on rozpocząć istnienie w tym miesiącu; celem jego jest uprawa tych gałęzi wiedzy, które się odnoszą do osadnictwa w ogóle; zamieszczać przeto będzie artykuły o administracyi, handlu, przemyśle i kulturze kolonij; odkrycia, podróże i krajoznawstwo; krytyka i bibliografia pism, z osadami związek mających. Językiem urzędowym czasopisma tego będzie francuski; ale artykuły mogą być pisane prócz tego po niemiecku i angielsku; holenderskie tłumaczyć się będą na język francuski. Dotychczas firma Brockhausa zjednała sobie do stu odpowiednich współpracowników; wśród nich czytamy imiona znanych uczonych, jak: Bastiana, Kerna, Quatrefagesa, Ujfalvego, Vambéry'ego i innych. Zdaje się, że przedsięwzięcie to jest na czasie i uda się znamienicie.

Obok tych prądów szerszego polotu, w Niemczech, pod wpływem godnego pożałowania szowinizmu, snują się bez przerwy pasma wbrew przeciwnego kierunku. Pan Lavisse, w jednym z ostatnich zeszytów *Revue des deux mondes* opisuje swe

wrażenia z podróży po Niemczech i dosadnie charakteryzuje owo naiwne samouwielbienie, którem się upaja większość niemców dzisiejszych. Sądzą oni, że są najpierwszym narodem na świecie; zalety swe przeceniają, a wad nie widzą. Zdaje im się, że dęby rosną tylko w Niemczech i dziwią się, widząc je za granicą. Chcąc polecić dobry gatunek jamników, nazywają je *„echt-deutsche,“* w naiwnem przekonaniu, że czysto-niemiecki pies jest psim ideałem.

Chciałoby się im, żeby i język ich tak był czystym, takim *„echt-deutsch“* jak owe jamniki. Ale rzeczywistość gorzki zawód przynosi. Mowa niemiecka więcej od innych zapożyczyła się u sąsiadów: roi się ona wyrazami greckimi, łacińskimi, francuskimi, włoskimi. Nie można mieć pojęcia, do jakiego stopnia martwi to i drażni hodowców czysto-niemieckiej rasy jamników. Książki, broszury i artykuły sypią się ciągle jak deszcz tegoroczny, celem oczyszczenia niemczyzny; są fanatycy, którzy czynią ślub nieużywania wyrazów obcych i ma się rozumieć narażają się na nierozumienie przez bliźnich. Zarząd pocztowy już w części *oczyścił* swój słownik techniczny, wyrzucając słowa takie, jak *marka, poste restante, recommandirt* itd. Ale niewiele to pomaga, bo w życiu potocznem obce te wyrazy jak obiegały, tak obiegają. Któż zechce np. zamiast *marka* mówić *Postwerthzeichen*? To tak jak gdybyśmy się my uparli za ś. p. Skoblem mówić *skośnościęty suknostan* zamiast *frak*, albo *mokrostępy* zamiast *kalosze*. Ta gorliwość niemców posuwa ich do tworzenia niesłychanych potworów, byle uniknąć wyrazu obcego, albo stworzyć nowy, któryby wyrażał pedantycznie wszystko, co się przezeń ma rozumieć. Widziałem np. w Pradze, jako znak ochronki, napis: *Kleinkinderbewahranstalt*, obok krótkiego czeskiego *Opatrovna*; albo w Heidelbergu, przy dworcu kolei: *Eisenbahndienstwohngebäude*! Trudnoż taki język mieć pretensyę uczynić wszechludzkim, *Weltsprache*!

Nowsze książki niemieckie, jak to nadmieniłem w liście poprzednim, są przeważnie dalszymi ciągami dawniej rozpoczętych wydawnictw, albo też ich przerabianiem. Zwracam uwagę czytelnika na niektóre bliżej mi znane.

Sędziwy Mommsen ogłosił tom piąty swoich *Dziejów rzymskich*; zawiera on historyę prowincyj za cesarstwa, opracowaną, jak utrzymują znawcy, z niepospolitą erudycyą i trafnością poglądów. Dla czego się autor ociąga z wydaniem tomu czwartego, któryby powinien opowiedzieć dzieje cesarstwa rzymskiego? Dla tego może, że Mommsen znalazł się w trudnem położeniu: w końcu tomu trzeciego podniósł znaczenie Cezara zbyt wysoko, przedstawiając go jako zbawcę ojczyzny, nawet ludzkości. Otóż chcąc być wiernym sobie, musiałby następców Cezara, spadkobierców jego idei i władzy wystawić idealnie; tego jednak ani sumienie, ani fakty nie dozwoliłyby mu uczynić: więc woli milczeć i zająć się tymczasem — że tak powiem — folwarkami rzymskimi, nie mogąc mówić o dworze.

Stary Gneist ogłosił dzieje konstytucyi angielskiej, wyłożone krótko, dostępnie i jasno (*Das englische Parlament in tausendjährigen Wandelungen* vom IX bis zum Ende des XIX Jahr. Berlin, 1886); jest to skrócone obrobienie dawniejszego obszernego dzieła jego, które mu sławę zjednało.

Kto chce bez mozołu naukowego poznać stary i nowy Egipt, ten znajdzie w nowej książce Ebersa łatwy i miły podręcznik, nazywa się on: *Cicerone durch das alte und neue Aegypten* (Stutgart, 1886) i jest w części przerobionym przedrukiem tekstu z pysznego wydawnictwa ilustrowanego *Aegypten*; wyszedł dopiero tom pierwszy.

Nowy tom bajecznie taniego zbioru Tempskiego w Pradze (*Das Wissen der Gegenwart*) przynosi prof. Behaghela popularne, wybornie napisane dziełko o języku niemieckim (*Die deutsche Sprache*): krótki rys dziejów, gwar i budowy jego. Dziełko takie, o 200 przeszło stronach, w ładnej oprawie, kosztuje jedną markę tylko!

Z piśmiennictwa angielskiego najnowszej doby polecić mogę czytelnikom dwie książki bardzo zajmującej treści o najświeższych postępach mitologii porównawczej. Obie napisał Andrzej Lang, który w krótkim czasie wyrobił sobie imię jednego z najlepszych znawców na tem polu. Jedno z pism nosi tytuł *Custom and Myth* (Zwyczaje i mity, Londyn, 1885, wyd. 2-e); jest to zbiór rozpraw mitologicznych i etnograficznych, z pomiędzy których pierwsza: o metodzie badań rzeczy ludowych, daje pojęcie o najnowszym zwrocie poglądów na tak zwany *folklore*, inne zaś zajmują się pojedynczemi zagadnieniami mitologicznemi. Druga książka Langa jest przekładem francuskim obszernego artykułu jego o mitologii, zamieszczonego w znakomitej *Encyclopedia britannica*, której obecnie dziewiąte wydanie wychodzi (*La Mythologie*, tłómaczenie Parmentiera, Paryż, 1886). W piśmie tem autor szkicuje dzieje mitologii i obszernie wykłada spory dwóch najnowszych szkół mitologicznych, filologicznej (M. Müller, jako jej przedstawiciel) i antropologicznej (Tylor), biorąc gorąco i umiejętnie w obronę tę drugą.

Mówiąc o anglikach, wspomnę mimochodem, że przekład *Pana Tadeusza* i sam ten utwór bardzo się podobały w Anglii, jak widać ze sprawozdania w *Academy* (nr 738). Autor jego nazywa *Pana Tadeusza* prawdziwą, genialną epopeą; wysoko podnosi klasyczną jego prostotę i obrazowość; tłómaczenie zaś pani Biggs nazywa doskonałem. Przytoczywszy spory ustęp z końca pieśni 5, opisujący kłótnię, przychodzi do niepochlebnego wniosku o naszem społeczeństwie z początku bieżącego stulecia i nie dziwi się upadkowi narodu, który znosił takie gwałty domowe *).

Jeżeli powodzenie polityczne ma być miarą wartości narodów, a pokupność— książek, to palmę pierwszeństwa z jednej strony trzebaby przyznać znakomicie przez Szczedryna opisanej „Świni tryumfującej,“ a z drugiej nieśmiertelnym „Buchholzom.“ Mommsenów, Gneistów i wszystkich ukoronowanych badaczów wyprzedził i *omne tulit punctum*, jak powiada Horacy, pan Juliusz Stinde. Czytają go wszyscy, a prasy drukarskie nastarczyć nie mogą odbijania jego obrazków mieszczaństwa berlińskiego, noszących tytuł „Die Familie Buchholz.“ Jest to satyra, w rodzaju naszych *Ramotek*. Zachęcony ogromnem powodzeniem pierwszego ciągu, Stinde napisał dalsze, w których obwozi rodaków swoich po Włoszech, Paryżu itd. (*Die Buchholzens in Italien* itd.); każda z seryj tych ma już po kilkadziesiąt wydań, i to w ciągu jednego roku. Czy się odważy i czy potrafi autor wyśmiać równie ostro i inne sfery niemieckie: oficerstwo, czynowników i półpanków niemieckich? Znalazłoby się tam zasobu komicznego więcej może jeszcze, niż w kołach mieszczańskich; ale na to potrzeba odwagi cywilnej; mieszczuch zaś jest pastwą bezbronną, jak wszędzie.

Z bliższych nam sfer niech mi wolno będzie wskazać na parę nowości słowiańskich. Ostatni (podwójny) zeszyt łużyckiej „Maćicy serbskeje“ zawiera ważną i zajmującą rozprawę dra E. Muki: „Statystyka Łużyczan w Saksonii.“ Wyliczone tu są i starannie opisane wszystkie osady, zaludnione przez łużyczan; dodany do tego spis abecadłowy miejscowości i mapa Łużyc. Na str. 57 autor podaje liczbę *wszystkich* łużyczan, tak saskich, jak pruskich: 175, 969; z tych górnych 100,059, dolnych 75,910; w domu mieszkających 166,067, reszta po miastach niemieckich, w Austryi i Ameryce. Zestawiając liczbę ogólną łużyczan, podaną w *Encyklopedyi* wielkiej (1864) z powyższą, widzimy, że się ona o 10,000 powiększyła: dowód, iż najmniejszy ten ze słowiańskich narodów nie topnieje pod zalewem morza germańskiego.

Nadesłano mi z Pragi statut nowozałożonego, w styczniu r. b. przez władzę miejscową zatwierdzonego stowarzyszenia, pod nazwą „Czeskoslovanska Jednota v Praze.“ Celem jego ma być „pielęgnowanie spraw kultury czeskiej i wspieranie ubogiej młodzieży słowiańskiej“ środkami: zakładanie księgozbiorów, udzielanie zapomóg kształcącej się w Pradze młodzieży słowiańskiej, odczyty publiczne, z wyłączeniem politycznych i zabawy towarzyskie. Chcąc zostać członkiem założycielem, trzeba wnieść jednorazowo 100 złr., albo obowiązać się płacić po 10 złr. rocznie; członkowie czynni płacą rocznie po 5 złr., członkowie wspierający przynajmniej po 1 złr.

Słyszałem o licznych już ofiarach w książkach na rzecz biblioteki Jednoty; dobrzeby było, żeby i rodacy nasi do jej wzbogacenia hojnie się przyłożyli; być może iż „Ognisko polskie“ w Pradze księgozbiór swój z nią połączy. Jeżeli Jednota zdobędzie się na własny lokal, cichy i nie dymny, to młodzieży słowiańskiej w Pradze wyświadczy prawdziwe dobrodziejstwo, bo dotychczas zgromadzać się ona musiała w gwarnych, dusznych i dymem tytuniowym zatrutych salach kawiarń albo Biesiady mieszczańskiej. Że Praga jest jednym z najodpowiedniejszych punktów do kształcenia się, szczególnie w rzeczach słowiańskich, tego dowodzić nie trzeba; a że nam, polakom zbliżenie się ze słowianami zachodnimi i południowymi tylko na dobre wyjść może, o tem każdy dzień coraz więcej nas przekonywa.

Kończę wzmianką, że słownik ukraińsko-niemiecki Żelechowskiego, pomimo śmierci autora, z notat przezeń zgromadzonych i przygotowanych posuwa ku końcowi p. profesor S. Niedzielski w Stanisławowie: obecnie wydrukowano go po str. 1040, (zgłoska *chl-*) więc już niewiele braknie do zupełnego ukończenia dzieła tego, ze wszech miar pożytecznego i zasługującego na poparcie.

Jan Karłowicz.

*) Zaznaczyliśmy dawniej kilka fatalnych błędów i niezrozumień rzeczy w tym przekładzie. *Red.*

Literatura czeska.

J. Vrchlický. **Gedichte**, autorisirte Uebersetzung von Edm. Grün. Lipsk, 1886. w 12-ce, str. 163.

Dotychczasowe przekłady niemieckie poety czeskiego nie miały należytego powodzenia u niemców — powiada tłómacz w przedmowie — ponieważ dokonywane były przez czechów, znających dobrze język niemiecki, ale nie władających nim, że tak powiem, rodowicie; niemcy czescy zaś, wyznać trzeba, uważają za grzech przeciw patryotyzmowi niemieckiemu, przekładanie utworów czeskich. Tłómacz jest niemcem rodowitym i przesądu tego nie podziela: temu zawdzięczamy zbiorek niniejszy, złożony z pomniejszych utworów poety, wybranych z różnych zbiorów jego rymów. Grün otwarcie wyznaje swe uwielbienie dla wielkiego poety i bardzo skromnie o swym przekładzie mówi. Mnie się zdaje, ile sądzić mogę, że tłómaczenie jego posiada wielkie zalety: wiernem jest i oddanem czystą a piękną mową niemiecką.

Niechże książeczka, ślicznie wydrukowana, idzie jako gałązka oliwna pomiędzy niemców, świadcząc o możności potężnych wzlotów i u gardzonych przez nich słowian. Vrchlický sam wystarczy za dowód: trzeba go tylko znać i rozumieć. Wiązanka p. Grüna z pewnością do tego się przyczyni.

Jan Karłowicz.

Czeske kwiety, wybor nasze liryky. W Praze, 1886.

Zadaniem „antologii" jest przedstawienie poezyi narodowej, odzwierciedlającej w formie pięknej charakter plemienny, w związku z tem, co przez ludzkość całą uznane jest za istotnie wzniosłe i szlachetne. Chcąc poznać literaturę poetyczną danego społeczeństwa, szukamy w niej właśnie owych cech ogólno-ludzkich, niepozbawionych atoli pewnej barwy miejscowej, stanowiącej jakoby drogocenną oprawę błyszczącego wszystkimi kolorami tęczy opalu. O ile to zadanie spełnia zbiorek p. t.: „Czeské kwiety"? Znaczny poczet pisarzów, ba aż 132, nic jeszcze o wartości jego nie stanowi. Pragnienia niektórych, przypuszczonych przez redakcyę *Kwietów* do Parnasu, są jedynie osobiste. Takiem życzeniem jest prośba do kochanki, aby splotłszy wianuszek z włosów swoich, łzami skropionych, złożyła na trumnie poety. Obojętnem jest dla nas, iż dwie gwiazdeczki, któremi pieśniarz igrał w latach młodocianych, przypominają mu dwoje oczu jego ukochanej. Jeden nawet z synów muzy pragnąłby umrzeć w objęciach swej Beatryczy, opierając rozpaloną głowę na piersiach śnieżystych.

Redakcya wszystkich wieszczów umieściła w porządku alfabetycznym, pogmatwawszy chronologię i charakter każdego utworu. W stosunku do znacznej plejady rymotwórców albumowych, zbyt po macosze postąpiono z takimi pisarzami, jak Czelakowski, Kolar, Hawliczka, Świętopełk Czech, Vrchlický, Zeyer itp. Z Vrchlickiego umieszczono wprawdzie piękne nader ustępy, lecz pominięto utwory cenniejsze. Nieład i brak równomiernego rozgatunkowania fragmentów zdradza rękę dyletancką i niczem niewytłómaczony pośpiech. „Lasetinskiego kowala" Św. Czecha podano w takim urywku, że trudno czytelnikowi powziąć wyobrażenie o tej rzewnej i pełnej tkliwości pieśni, cieszącej się powszechną w Czechach popularnością.

Książkę tę wzięliśmy do ręki w nadziei, iż znajdziemy w niej wierny obraz muzy nadwełtawskiej, lecz smutne rozczarowanie zawiodło nasze nadzieje. A szkoda, bo poezya pobratymczego narodu, śmiało stanąć może obok ogólno-europejskiej, co dowodzi, iż naród czeski, kształcąc się na wzorach cywilizacyi zachodniej, zdołał już wytworzyć sobie stanowisko, które świadczyć będzie o żywotności pierwiastku, skazanego przez politykę gabinetów na zagładę i zapomnienie, wytrwałość jednak i praca mozolna omyliła rachuby zawsze błądzącego po omacku samolubstwa.

Justyn Feliks Gajsler.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ruch rozwoju. — Konserwatyzm człowieka. — Opór w postępie i moc tradycyi. — Żebractwo. — Gnijące bagno. — Szkody stron obu. — Nowy „porządek" na kolejach. — Okrzyczanie i utrudnianie tego środka komunikacyi. — Chłop w powieści nudzący krytyków.— *Placówka* Prusa. — Wielkie dzieło w małym świecie. — „Skurczenie ojczyzny." — Występek imienny i bezimienny. — Wystawa ogrodnicza. — Jerzy Aleksandrowicz. — Zbrodnia skierniewicka. — Dwa pytania.

Jeżeli rozwój pojęć i stosunków ludzkich uważać będziemy jako ruch, to przyznać trzeba, że jest to najpowolniejszy z ruchów w naturze. Historya przedstawia księgę pod tym względem niezmiernie ciekawą: ile człowiek nakołował po manowcach, zanim doszedł do tego, co tuż przed nim stało; ile nawzdychał się, zanim przyjął to, co później poczytywał sobie za rozkosz i chlubę; ile zużył wykrętów, zanim uznał teoretycznie niezbitą prawdę, a ile wymówek — zanim ją zastosował praktycznie! Zwierzęta potrzebowały mniej czasu na zmianę swego ubarwienia w doborze naturalnym, niż ludzie — na zmianę swoich przekonań w postępie cywilizacyi; prędzej zając północny ubrał się w białą futrzycę, niż europejczyk zgodził się na wnioski ścisłego rachunku. Tak konserwatywnej istoty nie zna całe stworzenie. Trzystakilkadziesiąt lat upłynęło od narodzin systemu Kopernika, a jednakże dotąd nawet astronomowie w swych pracach zachowują „wschód i zachód słońca." Czy można się dziwić prostaczkom, że stoją dotąd na stanowisku Ptolomeusza? Czy można się dziwić wróblowi, że buduje swe gniazdo jak przed pięciu wiekami, chociaż i on wplata w nie przecież włókna, których wówczas nie znano? Dla wprowadzenia kartofli, musiano je aż — zakazywać i tym sposobem łechtać żyłkę złodziejską. Wiadomo, czem jest „dobra i szanowna tradycya"? Jeżeli ona utrzymuje, że 2 razy 2 równe 5, trzeba zmarnować całe lata zbiorowej pracy, ażeby przekonać jej czcicieli do 4. Pomijając niemożność zrozumienia prawd nowych, na wszelki postęp patrzy człowiek jak odlew gipsowy patrzałby na inną formę, nie tą, w której jego kształty odciśnięto: wierzy, że mu w niej będzie niewygodnie, że się polamie, pokruszy...

W każdej epoce, a więc i w obecnej, widzimy szereg pewników uświęconych, a skazanych na wymarcie, całe systematy mniemań szanowanych a niedorzecznych, całe sieci stosunków utrwalonych i niemających podstawy. Wszystko to, prędzej czy później, musi zginąć i runąć, my o tem wiemy, jednakże podpieramy: łatamy ruderę, bo z nią zżyliśmy się, bo przywykliśmy do jej dziur, spróchniałych wiązań i stęchlizny. Już teorya dawno w najwyższych instancyach potępiła niewolnictwo, które dotąd istnieje; już wydano ostateczny wyrok zagłady na poddaństwo, które w ostatnich dopiero czasach zaczęto znosić. Gdy człowiek nie może niczem obronić jakiegoś tradycyjnego zabytku, okurza go, odnawia, przerabia i dopasowywa do wymagań współczesnych. Ta restauracya przeszłości wypełnia większą część rozwoju cywilizacyi, który chyba w rzadkich odstępach rozwala gmachy stare i wznosi nowe, zwykle zaś naprawia tylko. Burze, wybuchy wulkanów i pożary duchowe zmuszają nas do przebudowywania się z gruntu.

Czy jest coś naturalniejszego od żebractwa — wszak prawda? Pozbawieni pracy lub sił do niej, proszą zdrowych i bogatych o jałmużnę — to bardzo proste. Nie dziwimy się też dziadom i babom, skomlącym po podwórzach, na ulicach, przy cmentarzach, pod kościołami — wszędzie, gdzie potok ludzki przepływa. Istnieją — jak np. w Częstochowie — osobne respubliki żebracze, uorganizowane i uszczeblowane. W naszych powieściach i poezyach światek ten zajmuje dość poważne miejsce i używa rzetelnego szacunku. Czasem nawet składaliśmy w nim wyższe uczucia, czerpaliśmy z niego prorocztwa i wskazówki. A jednakże jest on bagnem naszego życia, w którem gnije spodlenie człowieka. Bo z jakiejkolwiek sączy się ono nędzy — kalectwa czy niedostatku — w każdym razie nie powinno być ani schroniskiem gadów, ani widowiskiem ulicznem. Urokiem poezyi otaczamy przechodniów, dających biedakom jałmużnę; ale rozważmy istotę tych szlachetnych czynów. Jest nędzarz, który umiera z głodu, a na chleb zarobić nie może; czy wyciąga rękę do społeczeństwa o wsparcie bezimienne, tajemne, ze źródeł ofiarności zbiorowej płynące? Nie — wyciąga rękę do jednostek na miejscach publicznych, pada przed niemi w proch, daje im sposobność popisu, w którym dobrowolnie przyjmuje na siebie rolę wygłodzonego zwierzęcia. To nie człowiek, mający prawo do pomocy dobroczynnej, ale istota upokorzona, błagająca miłosierdzia. Nie zdobywa sobie warunków bytu od razu, ale musi je wypraszać ciągle, u wszystkich. Czy pozbywszy się godności w tej nieustannej żebraninie, czy straciwszy cały wstyd w publicznem skomleniu, nie spodli się? Czy nawet owo ciągłe budzenie się świadomości w dobroczyńcach, że oni swoją łaską karmią nędzę, działa na nich samych uszlachetniająco? Rozmyślano u nas wiele nad sposobami usunięcia żebractwa, ale dla względów — że tak powiem estetycznych: chciano się pozbyć „wstrętnego widoku." Arystokratyczne nerwy nasze bywają przezeń obrażone — ani słowa, lecz czy one swą odrazą rozwiązują węzeł społeczny? Bynajmniej. Jęczący kaleka przedstawia niewątpliwie „wstrętny widok" — ażeby wszakże temu zapobiedz, dość byłoby go wrzucić do Wisły, skazać na śmierć głodową lub wywieść z innymi w ostęp puszczy, ażeby tam się wzajemnie zjedli. Jeśli zaś nie chodzi jedynie o naszą wrażliwość, ale i o jego życie materyalnie znośne i moralnie niespodlone, winniśmy go ratować. Podjęło ten trud grono osób, które ma wytworzyć instytucyę, tamującą rozrost żebractwa. Będzie ona starała się: 1) o rozumne skierowanie miłosierdzia i 2) o ułatwienie organom porządku publicznego łowów na żebracze rzemiosło. A więc będzie to łata na starej dziurze, plaster na zadawnionej ranie, która się pod nim nie zagoi; ponieważ wszakże — jak rzekłem — postęp zczepia się z łat i plastrów, zatem policzmy i ten między korzyści.

Koleje nasze założą pewnie towarzystwo, zapobiegające sprzedaży biletów powrotnych, które jedna z nich kazała podróżnym ostemplowywać w kasach. Pamiętając, że u nas zrobiono już wiele dla utrudnienia jazdy drogami żelaznemi, że posiadamy nieznany całej Europie przywilej opłacania za dalszą przestrzeń, niż przebywamy, że wsiadając na przystankach, zyskujemy przyjemność powtórnego kupowania biletów na następnej stacyi, że w wagonach wolno nam o tyle zajmować miejsca płatne, o ile nie krępujemy kart wolnej jazdy — byłbym gotów przypuścić, że i ten nowy „porządek" ma na celu wyłącznie obrzydzenie wynalazku Stephensona, a zachęcanie do tego rodzaju komunikacyi, którego z rozkoszą używał niedźwiedź litewski, spieszący na wózku żydowskim do zwierzyńca warszawskiego. Ale ponieważ wiadomo wszystkim, że nasze koleje ledwie koniec z końcem wiążą i to bardzo sztucznie, więc sądzę, że ów przepis ma je ochronić od handlu biletami powrotnymi. Otóż przypominam sobie spór prawny z tego powodu w Niemczech, gdzie między innymi słynny badacz, dr Ihering oświadczył się za prawem swobodnej sprzedaży niezużytkowanych biletów z powrotem bezpłatnym. Praktycznie nawet sprawdzanie tożsamości osoby jest niemożliwem, trudno zaś zaopatrywać koleje żelazne w przyrządy śledcze. Niech więc ich pomysłowość nie wytęża swego dowcipu w tym kierunku i niech lepiej wynajduje sposoby ułatwienia podróży ludziom biednym; poprawi tem swoją kasę

i wyświadczy dobrodziejstwo ogółowi, który dotąd jeszcze przenosi furki żydowskie i chłopskie, lub wreszcie własne nogi, nad wagony kolejowe.

Od bardzo niedawnego czasu beletrystyka nasza zwróciła uwagę na istoty, które jeszcze odmawiają sobie dróg żelaznych, jeśli mają tylko 5lub 6 mil do przebycia — na chłopów. Po uwłaszczeniu ich i obdarowaniu prawami obywatelstwa, po smutnych wreszcie doświadczeniach, w których przekonaliśmy się, że szlachetczyzna nie daleko nas zawiezie, zaczęliśmy rzucać promienie światła w ciemną otchłań życia ludu. Dziś jest on przedmiotem częstych naszych rozmyślań i bohaterem w obrazkach powieściowych, z których stanowczo wypiera hrabiów i książąt. Niestety, ledwie się ukazał w literaturze już nas znudził. Jeden z krytyków, ziewając przed nowelami chłopskiemi, żąda, ażeby ograniczono ten rodzaj produkcyi. Gdyby powstawał wogóle przeciwko tandecie, bez względu na to, czy ona maluje „młodszych," czy „starszych" braci, warto byłoby go posłuchać; ale gdy uderza wyłącznie na przeładowanie powieści tematami ludowymi, zdaje mi się, że słyszę głos obłaskawionego wilka, którego natura ciągnie do lasu. W beletrystyce naszej jeszcze najmniej szkodliwą jest fuszerka z motywów ludowych, bo przynajmniej otwiera przed naszemi oczami dziedzinę, którą długo trzymaliśmy zamkniętą i o której dotąd chętnie zapominamy. Dodać przytem trzeba, że talenty prawdziwe wydobyły nam z tego morza garść przepięknych pereł. Nie mówiąc o ślicznych obrazkach Sienkiewicza, który zarzucił ten najwdzięczniejszy swój pędzel, dość wymienić Prusa i przecytać jego *Placówkę*. Kiedyś pomówimy o tym utworze szczegółowiej, dziś zaznaczam, że gdyby chłopomania nasza wydała tylko ten jeden klejnot, wynagrodziłaby nas za wszystkie płody poronione piór niezdolnych. Są w nim ustępy genialne, mogące ozdobić koronę najdumniejszej literatury, a całość okazuje tak głębokie wniknięcie w myśli i uczucia chłopa, jakiego dotąd u nas nikt nie osiągnął. Jest to książeczka prawdziwie narodowa, bo ją cały naród zrozumieć i z korzyścią przeczytać może, przemawia ona tym prostym a znakomitym językiem, którego tajemnicę posiadają jedynie wielkie talenty. Jak wszystkie prace Prusa o szerszym zakroju, i ta z wielu stron kuleje i nie posiada artystycznego planu — ale ile w niej olśniewających szczegółów! Czemuż jej nie widzi świat rozleglejszy od naszego zakątka, który tego znakomitego autora uważa tylko za dowcipnego bawiciela Warszawy i stawia obok drobiu literackiego, mogącego jedynie u jego stóp zbierać dziobkami ziarna sypane szczodrą ręką.

Kogo chłop w powieści już nudzi, ten niech urozmaici i rozweseli ją tymi bohaterami, którzy „kurczą ojczyznę." Telegram znowu doniósł, że wieś Lubowo (około Gniezna), obejmująca 479 hektarów, sprzedana została rządowi pruskiemu za 300,000 marek na cele giermanizacyjne. Kto spełnił tę ofiarę patryotyczną, dzienniki milczą, bo u nas paskudztwa dobrej krwi występują bezimiennie*). Gdy Abram Milgram, kantorowicz, ukradł 100 rs. i uciekł, napiętnowano go bez osłony; ale gdy jeden dobrze urodzony ukradł usłużnej damie 400 rs. a drugi oszukał łatwowiernych na tysiąc kilkaset, o tych albo zamilczano, albo zaznaczono ślad ich niecnoty pod początkową literą nazwiska. I właściciel przeto Lubowa ma prawo do maski. Gdy się nazywał Abram Milgram — dalibyśmy mu!

W łazienkowskiej pomarańczarni urządzono wystawę ogrodniczą. Przez kilka dni śmiały się i wdzięczyły do widzów uroczemi barwami kwiaty żywe i ścięte. Jakościowo popis ten wypadł świetnie — ilościowo dowiódł, że maleńka garstka ludzi zajmuje się u nas ogrodnictwem. Te same nazwiska ciągle i wszędzie — a tak ich niewiele! Hozer, Bardet, Kaczyński, Szanior — Bardet, Kaczyński, Szanior, Hozer — błędne kółko, w którem kręci się uroczy kopciuszek naszej pracy. A nie ma nadziei, ażeby ono rozszerzyło się. Szkoła ogrodnicza zasnęła w letargu, z którego nie wiadomo kiedy i czem się obudzi, prof. Aleksandrowicz przestał zawiadywać Ogrodem pomologicznym. Gdy taka kolumna zostaje wysuniętą z pod miejsca punktu ciężkości, nie ma na czem oprzeć rusztowania do dalszej budowy. Miejmy nadzieję, że mu się uda zyskać podstawę dla Szkoły ogrodniczej, tak jak ją zyskiwał nieraz i tam, gdzie na pozór nie było żadnego gruntu.

Muszę dziś dotknąć się padalczej zbrodni nie dla tego, ażeby ją stawiać pod pręgierzem, bo już ją inne pismo napiętnowało, ale dla tego, żeby opatrzyć ją dwoma znakami zapytania. W Skierniewicach telegrafista miejscowy zwabił podstępnie do swego mieszkania młodą nauczycielkę, która jadąc do Warszawy z Poznańskiego, spóźniła się na pociąg. Czytelnik łatwo się domyśla celu tej zasadzki, wiedząc, że nieszczęśliwa ofiara wyskoczyła oknem z pierwszego piętra i roztrzaskawszy się, w męczarniach kona. Otóż czy jest prawdą, że przez jej śmierć dochodzenie sądowe musi być przerwane, oraz że zwyciezki telegrafista pozostaje dotąd w służbie kolei wiedeńskiej? Wypadek ten nie należy do codziennych, ale gdyby przeszedł bezkarnie, stałby się straszną zachętą dla instynktów nikczemnych. Sumienie społeczeństwa wymaga zmycia tej plamy. Jeżeli złodzieja, który ukradł bułkę piekarzowi, karzemy więzieniem, czyż tę zbrodnię ułaskawimy, nasyciwszy się tylko jej silnemi wrażeniami. Krwawe widmo zhańbionej stoi przedemną i upewnia, że ona będzie pomszczoną. Pragnę mu wierzyć.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jeszcze o kwestyi chłopskiej i hygienie moralnej — P. Niemojowski „od tyłu." — Dwaj obywatele. — Moralność chłopska. — Ochronki wiejskie. — Wołanie o pomoc.

Poruszona przez Prusa sprawa poznania bytu materyalnego ludu, zaczyna przybierać szersze rozmiary i wkrótce może pozyska zaszczytny tytuł „kwestyi," nadawany dotychczas tylko takim ważnym zjawiskom społecznym, jak wieczorki wełniane, teatrzyki ogródkowe itd. W sprawie tej wygłoszono dwa zasadnicze poglądy, pierwszy z nich, który i my podzielamy, trzyma się ściśle przedmiotu, drugi zaś plecie trzy po trzy o „hygienie moralnej," którą przedewszystkiem należy wyłożyc chłopu, później zaś dopiero myśleć o zdrowiu fizycznem. Zasady tej, która w spuściznie po Towarzystwie rolniczem dostała się *Niwie*, broni obecnie w *Kaliszaninie* p. Iks. Wojomein, czyli po prostu p. Niemojowski „od tyłu," co zresztą nie wpływa bynajmniej na zmianę umysłowych właściwości tego autora. Nie będziemy powtarzali tych bzdurstw obiegowych, z których tworzy się u nas zdanie większości, zwrócimy tylko uwagę na jeden argument p. N. Brzmi on tak: rada Towarzystwa rolniczego „pierwej hygiena moralna, później ziemia" nie była wysłuchaną — owszem, chłopi zostali hojnie w grunta orne, łąki, pastwiska i służebności na lasach uposażeni, a otóż jakie z tego skutki: Najprzód owo „hojne uposażenie" stosuje się tylko do nieznacznej mniejszości włościaństwa; nawet pisarze z obozu zachowawczego przyznają, że około 40% chłopów otrzymało działy ziemi niewystarczające na utrzymanie; doliczywszy do nich ludność bezrolną, otrzymamy, że przeszło 60% ogółu włościan niema zapewnionego jutra. Powtóre zaś, tak długo wychowywaliście chłopów w zasadach hygieny moralnej, że zaczęli się oni wyradzać fizycznie przedtem, zanim dostali ziemię. Bo dzisiaj nie może już być wątpliwości, że i u nas w Królestwie ludność wyradza się stopniowo. Zestawienie rezultatów sprawozdań komisyj poborowych świadczy, że z pomiędzy wszystkich plemion, zamieszkujących w państwie rosyjskiem, polacy przedstawiają największy procent niezdolnych do służby wojskowej. To wyrodzone pokolenie urodziło się jeszcze i nawet w części wychowało w błogosławionych czasach pańszczyzny i hygieny moralnej. Czy następne pokolenia będą silniejsze i zdrowsze, dziś przesądzać trudno w braku danych, ale nie spodziewamy się pomyślniejszych rezultatów od przyszłych sprawozdań. Gdyby bowiem nawet „uposażenie" — jak chce p. N. — było hojnem, wpłynęłoby ono tylko na zmianę bytu pewnej liczby ludności krajowej. Oprócz tego wpływu dodatniego były inne — ujemne, jak np. rozrost przemysłu fabrycznego, który wydał już całe pokolenie robotników przedwcześnie zgrzybiałych i rachitycznych. Nie ujmując zresztą pierwszorzędnej wagi czynnikom ekonomicznym i oddając kapitalizmowi to, co mu się słusznie należy, dodam tu, że wyradzanie się ludności zależy również od ogólnego poziomu kultury, bo są przecież kraje, w których kapitalizm „kwitnie" wspanialej niż u nas, mimo to ludność tam jest silniejszą i zdrowszą. Pewien wpływ mają tu bezwątpienia przepisy hygieny, ale zwyczajnej, nie „moralnej," chociaż i ta ostatnia w pewnym, bardzo zresztą ograniczonym zakresie, oddziaływać dodatnio może.

Zdaje mi się jednak, że dotychczas nie zwrócono uwagi na fakt, który w znacznej mierze objaśnia sprawę wyradzania się fizycznego ludności naszej. Wiadomo każdemu, że w ś. p. czasach hygieny moralnej i społecznej, aż do roku 1864 ludność kraju wzrastała bardzo powolnie, w niektórych zaś latach zmniejszała się nawet. Odbywał się więc wtedy pewnego rodzaju dobór naturalny, osobniki słabsze, niezdolne do wykonywania przeznaczonej im funkcyi społecznej — pańszczyzny, wymierały, pozostała zaś reszta była tak żywotną, że można ją było poddawać wszelkim próbom hygieny moralnej: nacieraniom brzozowym, massażowi rzemiennemu, kuracyi głodowej itd. Zmiana w położeniu materyalnem ludu wyraziła się przedewszystkiem w ogromnym wzroście ludności, który był nie tyle skutkiem zwiększonej płodności (procent urodzeń wzrósł nieznacznie), ile zmniejszonej śmiertelności. Dzisiaj przyrostem ludności przewyższamy wszystkie kraje europejskie, jest to zapewne rezultat „hojnego uposażenia," które sprawiło, że mniej stosunkowo dzieci chłopskich umiera, ale które było jednak zbyt szczupłem, żeby z potomstwa wycieńczonych postem hygieniczno-moralnym rodziców zrobić mogło ludzi zdrowych i silnych. Zwrócić tu muszę uwagę apostołów hygieny moralnej, żeby przynajmniej, kiedy mówią o zaspokojeniu potrzeb fizycznych, nie porównywali „hojnego uposażenia" chłopów — z biedą szlachecką, bo chyba nawet właściciel, wystawionego na sprzedaż przymusową majątku, żyje stokroć lepiej, aniżeli najzamożniejszy jego „sąsiad" w sukmanie. Przecie i w wyglądaniu głupstw trzeba zachowywać pewne granice.

P. N. oburza się jeszcze na Prusa, że ten wkłada na przeciążone barki właściciele

---

*) W ostatnich dniach jeden z dzienników wyjawił, że ów mąż zasłużony nazywa się — Lewandowskim.

ziemskich nowy obowiązek starania się o poprawę bytu materyalnego ludu. Oburzałem się i ja, chociaż, co prawda, na dobroduszną naiwność Prusa, ale szereg faktów, świadczących o troskliwem zajęciu się braci starszych cywilizowaniem braci młodszych, przekonał mnie, że dobre chęci istnieją, należy tylko skierować je w odpowiednim kierunku.

Oto np. właściciel dużego majątku zapragnął szczerze przyczynić się do podniesienia poziomu umysłowego służby folwarcznej i po dojrzałym namyśle postanowił wyuczyć wszystkich parobków i dziewki po francusku. W tym celu sprowadził nauczyciela i żeby zachęcić służbę do nauki, podwoił pensye. Nauka trwa już od połowy maja i na odbytym niedawno w obecności zaproszonych sąsiadów egzaminie, okazało się, że jeden parobczak i dwie dziewki poczynili zdumiewające postępy. Mówią wprawdzie — jak *Kur. warsz.* wyraża się — „z akcentem otwartym,“ lecz zwyczajne zdania doskonale rozumieją. Koncept p. obywatela ziemskiego może mieć doniosłe skutki pod względem społecznym. Dotychczas pan polski nie mógł zrozumieć chłopa, spodziewać się można, że obopólna znajomość francuszczyzny ułatwi mu to zadanie i doprowadzi do braterskiej zgody z chatą, ku wielkiej radości naiwnych autorów nowel konkursowych i niekonkursowych.

Inny znowu, niemniej poważny obywatel, wynalazł sposób obcowania braterskiego nawet bez francuszczyzny. Demokratycznie usposobiony reporter kuryerów z wielką radością zauważył w pewnym handlu win — „czterech włościan w towarzystwie niemłodego obywatela,“ spożywających wykwintne śniadanie, za które potem chłopi zapłacili 50 rubli. Powodem tej uczty było zgodne zakończenie procesu (czy nie o służebności). Była to więc kuracya hygieniczno-moralna, szkoda tylko, że szanowny lekarz tak drogo każe płacić pacyentom za poradę. *Tydzień piotrkowski* zapytuje: „czy zgoda i harmonia między dwoma stronami możliwe są tylko przy kieliszku“ i nieśmiało dodaje, że może w takich razach kłótnia byłaby lepszą od zgody. Zapewne, przynajmniej byłaby tańszą, ale nie należy lekceważyć dodatniego wpływu na uobyczajenie chłopskie, jaki to wzajemne obcowanie wywrzeć musi.

Bo nie szlachtę spychać w dół,
Lecz do wyższych coraz kół
Wznieść przez ducha uszlachcenie

potrzeba polskiego chłopa. A, jak wiadomo, dar „łaski szlacheckiej“ umiłował sobie szczególnie pobyt w handlach win i delikatesów i spływa na prostaczków w strugach „węgierskiego.“

Teraz dopiero czas jest pomówić z p. N. i wyznawcami t. z. teoryi Towarzystwa rolniczego o hygienie moralnej. Kto ma pilnować wykonywania jej przepisów: czy ten ksiądz, któremu władza policyjna przypominać musi o taksie na obrządki duchowne, czy ten „dziedzic obszernych włości,“ który uczy parobków po francusku, czy też ten „niemłody obywatel,“ który szlachci swoich „sąsiadów“ w handlu winnym, *nb.* na ich koszt? Gdzież chłop znajdzie tych moralnych przewodników i czy wogóle t. z. warstwy inteligentne moralniejsze są od ludu? Statystyka kryminalna twierdzi inaczej, a zwyczajna obserwacya popiera to zdanie. Moralność ludu jest inną, dajmy na to niższą jakościowo od moralności naszej, ale chłop jest stokroć wierniejszym swojej etyce i przeniewierza się jej niezmiernie rzadko, jeżeli weźmiemy na uwagę, że większość czynów uważanych przez nas za występne, nie są bynajmniej takimi w oczach ludu. Spora zaś ilość cnót naszych i przymiotów będzie w oczach chłopa zbrodnią lub przynajmniej wykroczeniem moralnem. Nie o hygienie więc etycznej może być mowa, bo właściwie chłop jest zdrowszym moralnie od nas, tylko inaczej pojmuje to zdrowie. Zapewne, jest cały zakres pojęć i przekonań wspólnych, ale czy w tej dziedzinie jesteśmy właśnie lepsi? Oto np. o jakich wadach chłopskich mówi p. N. Na pierwszym planie stoi pijaństwo, dalej próżniactwo, hulanki i marnotrawstwo. Wielmożni panowie, pracowici moraliści! Czy to chłop polski przepił ojczyznę i hulał na jej grobie, czy to on popuszczał pasa i wychylał garncowe kulawki, czy to on trwonił i do dziś dnia trwoni ziemię rodzinną, czy on włóczy się po wodach zagranicznych lub spędza noce przy zielonym stoliku? Może chłop nasz pracuje nie wiele, ale zawsze więcej niż ksiądz, szlachcic, literat, urzędnik, kupiec, przewyższa go tylko robotnik, ale ten należy także do ludu, który poddany być winien hygienie moralnej. Francuzi nie znali chłopa naszego, kiedy utworzyli przysłowie: *soul comme un polonais.* Dziś jeszcze, pomimo narzekania na ciężkie czasy, wypijamy win, likierów, porteru i wogóle droższych trunków na sumę, przewyższającą cenę wypitej wódki, chociaż szlachetne napoje chłodzą zaledwie kilkadziesiąt tysięcy gardeł, kiedy spożywców wódki liczyć można na miliony — a przecież jeszcze i my nie gardzimy „oczyszczoną“ lub „żytniówką,“ chłop zaś wyjątkowo tylko korzysta z towarzystwa „niemłodego obywatela.“ My — a raczej — wy, którzy strwoniliście i przepili wszystko: byt niezależny, ziemię, honor nawet imienia narodowego, wy stojący na skraju ostatecznego bankructwa, odważacie się mówić jeszcze o hygienie moralnej i występować w roli jej apostołów!

Za koszt sprowadzenia nauczyciela języka francuskiego, nawet za te pięćdziesiąt rubli przepite w celu uszlachetnienia młodszych braci możnaby utrzymać jedną przynajmniej ochronkę wiejską. Nie ma sprawy, w której by obojętność inteligencyi względem ludu była widoczniejszą. Tutaj nic można już usprawiedliwiać się „okolicznościami niezależnemi od nas,“ dosyć nająć babę, któraby podczas robót letnich pilnowała pozostawione w domu dzieci. Potrzeba tylko znaleźć pomieszczenie i zapłacić kilkanaście rubli dozorczyni, w każdej zaś wsi znajdzie się odpowiednia do zajęcia tego osoba. Jak zaś potrzebne są ochronki, świadczą takie straszne fakty: w gub. lubelskiej w ciągu niespełna dwóch tygodni utopiło się siedmioro dzieci, w płockiem — w ciągu dni kilku — pięcioro; ileż tych ofiar nazbiera się w kraju całym przez lato. Gdyby włościanom podano myśl urządzenia ochronki, gdyby udzielono im wskazówek, jak to zrobić należy, wątpić nie można, że zgodziliby się chętnie i złożyli by nawet niewielką opłatę, ale nikt im myśli tej nie podsuwa, nikt ich nie uczy, w jaki sposób chronić zdrowie i życie dzieci. A no, bo zdrowie i życie nie wchodzą do zakresu hygieny moralnej. Trzeba więc cierpliwie czekać, aż znajdzie się jakaś litościwa dusza, która nam „każe“ zaprowadzić po wsiach ochronki, a może nawet sami prosić będziemy, żeby nam „kazała.“ bo i to się zdarza.

Korespondent *Tygodnia* opowiada wiele szczegółów o gospodarce niemieckiej w Sosnowcu, świadczących, według niego—o brutalności niemieckiej, według mego zaś zdania—więcej jeszcze o niedołęztwie naszem. Ciekawym jest wykrzyk, którym p. A. G—g kończy swój list: „jeżeli tym wkraczaniom niemców do Polski nie położy tamy rząd rosyjski, możemy się spodziewać, że w bardzo krótkim czasie żaden polak-kupiec nie będzie mógł istnieć we własnym kraju.“ Bardzo pięknie, nie mam nic przeciw temu, żeby rząd położył tamę, lub nawet wypędził wszystkich niemców z kraju, co daj Boże amen, ale w wypadkach przytoczonych przez korespondenta mieszanie się władzy byłoby niemożliwem. Żaden rząd nie nauczy nas sprytu, zabiegliwości, pracowitości, jeżeli przymiotów tych nie posiadamy; żaden rząd nie może popierać niedołęztwa, chociażby ono było rdzennie — krajowem. Takie wołania o pomoc świadczą tylko o naszej niezaradności, niedługo zażądamy od rządu, aby nauczył nas obowiązków względem społeczeństwa, a później może poprosimy, żeby zakazał nam wchodzić w stosunki z niemcami. Naczelnik powiatu bendzińskiego może być bardzo sprężystym administratorem i bardzo życzliwym dla żywiołu krajowego, nie może jednak zabronić polakom sosnowickim kupować towarów w sklepach niemieckich lub rozmawiać po niemiecku, jak władza wyższa nie ma racyi zabraniać wyjazdu do wód pruskich lub sprowadzania bon z Berlina. Jeżeli rząd zamierza położyć tamę najazdowi niemieckiemu, to uczyni to w imię interesów państwowych i w ściśle ograniczonym ich zakresie, nie zaś dla poparcia lichych kupców lub niedołężnych przemysłowców. O tej granicy działalności władzy pamiętać zawsze należy i nie łudzić swego niedbalstwa nadzieją pomocy rządowej.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Czyżby? *Tageblatt* berliński drukuje skargę jakiegoś „znawcy stosunków wschodnich,“ który przepowiada bankowi germanizacyjnemu, mającemu wykupować ziemię polską i spełniać różne ohydy, zupełne bankructwo. Ciekawym jest wywód tego pisma.

„Panowie od zielonego stolika, którzy obradowali i uchwalili różne, tak zwane, prawa polskie, a którzy sobie z nich obiecują trwały skutek, zdziwiliby się bardzo mocno, gdyby sami zechcieli wychylić głowę do tych części pruskiego państwa, nie dlatego, aby oddać wizytę Potemkinowym wsiom z obowiązkowymi łukami tryumfalnymi, biało przybranemi dziewicami i uroczystemi przemowami, ale aby kraj i ludzi jak najdokładniej poznać.

Przedewszystkiem, zrobiliby nasamprzód z pewnością olśpiające dla siebie odkrycie, że nawet prawdziwie po niemiecku i szczerze patryotycznie usposobieni wiejscy właściciele tych okolic nie spodziewają się i nie życzą sobie żadnych skutków owych praw germanizacyjnych.

Niewątpliwie stanowiliby niemieccy ziemscy właściciele bardzo ważny czynnik germanizacyjny, gdyby tylko chcieli i gdyby mogli...

Gdyby w stosunkach ze swymi robotnikami posługiwali się sami tylko niemieckim językiem i według możności nastawali na to, aby im w niemieckim języku odpowiadano, robiłaby znajomość niemczyzny pośród roboczej ludności polskiej szybkie postępy.

Cokolwiekbądź, byłaby to rzecz do przeprowadzenia, ponieważ mało tylko tamtejszych robotników nie posiada zupełnie niemieckiego języka, a niewielka ta liczba przyswoiłaby sobie bardzo prędko potrzebną znajomość niemczyzny, aby rozumieć rozkaz swego pana lub żądania swe przedstawić mu. Ale jakież byłoby następstwo? Podwórza właściciell dóbr, w podobny sposób sobie poczynających, wyludniłyby się prędko z robotników, a właścicielom udałoby się chyba tylko z wielkiemi materyalnemi ofiarami postarać się o pozyskanie sił roboczych.

I tak przecież jest faktem, że polscy właściciele ziemi rozporządzają o wiele tańszemi siłami roboczemi, aniżeli ich niemieccy sąsiedzi.

Polski robotnik zadawala się, dzięki wszechwładnemu wpływowi polskiego duchowieństwa, dość znacznie mniejszym zarobkiem, jeżeli tylko może znaleźć pracę u polskiego właściciela ziemi.

Możnaby wobec tego zauważyć, że niemieccy właściciele ziemi mogliby się bronić przeciw takim agitacyom polskiego duchowieństwa przez solidarne postępowanie w obrębie pewnych obwodów, ostatecznie bowiem nie są polscy właściciele sami przez się w stanie zatrudnić wystarczająco polskich robotników.

Ci byliby więc zmuszeni szukać chleba i zarobku i u niemieckich właścicieli.

Pominąwszy jednakże zupełnie fakt, iż byłoby rzeczą bardzo trudną, prawie niemożliwą, doprowadzić do skutku takie działanie zbiorowe, nie leży jednakże wogóle wcale w interesie niemieckich właścicieli dopomagać tak koniecznie germanizowaniu tamtejszej ludności roboczej.

Polski robotnik wiejski jest nietylko bardzo pracowity, wytrwały, poprzestający na małem, ale jest też, na czem w tych stronach bardzo wiele zależy, niezmiernie przywiązanym do miejsca.

Dopóki nie posiada niemieckiego języka, pozostaje pod pewnym względem przywiązanym do gleby. Im większe postępy germanizacya pomiędzy wiejskimi robotnikami, początkowo polskiej narodowości, robi, tem więcej budzi się i pomiędzy nimi chęć wędrówki na zachód.

Kto jednakże ma zastąpić zgermanizowanych, dawniej polskich robotników, którzy się temu prądowi poddali? Czy może ściągnięci z zachodu niemieccy robotnicy?

Wszyscy właściciele ziemi z ludnością przeważnie polską mają prawdziwy wstręt do ściąganych z zachodu niemieckich robotników, ponieważ ci składają się po większej części z unikającej pracy, niezdolnej do niej, a za to tem pretensyonalniejszej czerni.

Tak więc zmuszeni są właściciele niemieccy, mimo wszelkiego patryotyzmu, liczyć się ze stosunkami, godzić się z okolicznościami, unikając wobec polskości zbyt drażliwego postępowania.

Tutaj mogłoby się przydać tylko prawo, któreby z drakońską surowością wogóle każde słowo polskie ze szkoły ludowej wypędziło.

Przeprowadzenie takiego prawa wywołałoby naturalnie niesłychane rozdrażnienie i spotkałoby się z pewnością z wielu trudnościami, jakkolwiek daje się przypuścić.

Ale i wtedy nawet byłaby germanizacyjna działalność szkoły tylko przemijającą.

Można się w tych stronach wszędzie i każdego dnia o tem przekonać, że opuszczający zaledwie szkołę chłopcy i dziewczęta natychmiast zapierają się, jakoby choć słówko niemieckie rozumieli.

Jeżeli kto odezwie się do takiego dziecka po niemiecku, odpowie natychmiast: Nie rozumiem.

Jedyny właściciel ziemski miałby może środek przełamać ową oporność, niema w tem jednakże, jak wyżej wykazaliśmy, żadnego interesu.

Trzeba się więc ostatecznie zapytać, czy rząd istotnie nie miał żadnej wiadomości o scharakteryzowanych dopiero co stosunkach, gdy szereg tak zwanych praw polskich wnosił?

Jest to wprost rzecz niepojęta.

Sądzimy przeciwnie, że rząd przedmiotowych sprawozdań znawców nie uwzględniał, może nawet naganą zbywał, ponieważ mu obok germanizacyi o zupełnie inny jeszcze cel chodziło, o pozyskanie tych okręgów wyborczych do sejmu, które dotychczas były reprezentowane przez polskich deputowanych, a tem samem o ważny krok naprzód w złamaniu opozycyjnej większości.

W tym celu może mianowicie owo stomilionowe prawo być wśród pewnych okoliczności wybornym środkiem, ponieważ po wsiach jest rzeczą niezaprzeczoną, że wypadek wyborów zależy od woli „wielmożnego pana."

Zobaczymy w jesieni przyszłego roku, czy rząd i pod tym względem nie omyli się w swej nadziei...

Jeśli niemiecki właściciel ziemi nie chce się wystawiać na ciągłe kłopoty, jeśli się chce obronić od dotkliwych materyalnych szkód, winien konieczne sam wyuczyć się języka polskiego i porozumiewać się ze swymi robotnikami w ich mowie ojczystej.

Tego samego doświadczą koloniści, których rząd ma zamiar osadzić na zakupowanych ze stumilionowego funduszu i mających się parcelować gruntach.

I ci koloniści, jeżeli się nie chcą sami zniszczyć, będą zmuszeni liczyć się ze szczególnymi stosunkami tamtych stron, a dlatego przyczynią się bardzo niewiele, albo całkiem nic, do popierania germanizacyi...

Po tak zwanych szkołach uzupełniających spodziewają się niemcy tych skutków daleko mniej jeszcze.

Stosownie do natury rzeczy, będą miały te szkoły uzupełniające siedlisko swoje w miastach, a zwiedzający je żywioł będzie się po największej części składał z rzemieślników.

Wśród tych jednakże nie potrzeba wcale takiej germanizacyi na koszt państwa, ponieważ rzemieślnicy polskiej narodowości w miastach owych okolic w interesie własnym są zmuszeni posiadać, o ile możności, dokładnie język niemiecki.

Praktyka, której rzemieślnicy ci muszą szukać sobie po wsiach, jest tego rodzaju, że majster, który chce mieć jakątaką egzystencyę, obu językami w interesie jej posługiwać się jest zniewolony.

Rzeczywiście też, posiadają od dawnych lat rzemieślnicy w miastach owych stron, z małymi wyjątkami, dokładnie oba języki.

Szkoły uzupełniające są tedy dla celów germanizacyjnych zupełnie zbyteczne...

Prawo o nominacyi nauczycieli byłoby może odpowiedniem do pewnego popierania germanizacyi, przypuściwszy, żeby było wprowadzonem w życie z zupełną znajomością rzeczy.

Skuteczność jego byłaby także przecież nader przomijającą, ograniczającą się na samą szkołę. Że z niemiecką nauką w wiejskich szkołach ludowych, mimo wszystkich praw, rozporządzeń i inspekcyi, rzeczy bardzo źle się mają, jest w tamtych stronach publiczną tajemnicą.

Zakryci pozwoleniem, że pierwsza nauka wstępujących dopiero do szkoły dzieci, jako i nauka religii w polskim języku odbywać się mają, myślą rzadko kiedy nauczyciele o tem, aby w nauczaniu posługiwać się niemieckim językiem, zwłaszcza, że nauka religii w szkołach ludowych ma niewątpliwą przewagę wobec innych przedmiotów nauki.

Niechaj więc w te strony posyła się choćby najlepiej niemiecko-usposobionych nauczycieli, nie będą oni mogli długo zachować swej niezależności wobec duchowieństwa i fanatycznie polskiej ludności. Gdyby się chcieli trwale opierać wpływowi księdza, od którego jako kościelni i organiści częstokroć materyalnie są zależni, struliby sobie życie, żaden chłop nie sprzedałby im jaja, ani kury, nie oddałby im żadnej przysługi i znaleźliby się wkrótce pod zupełną klątwą.

Oby tylko to wszystko było prawdą.

PRASA ROSYJSKA.

Petersbur. Wiedomosti drukują luźne a prawdziwie słowianofilskim śmiechem wybuchające uwagi i spostrzeżenia podróżne z wycieczki po guberniach zachodnich. Oto kilka spazmatyczniejszych wybuchów w rozmowie z towarzyszem podróży.

„Nie mogę ścierpieć rozmowy z polakami w wagonie. Tyle razy jeździłem z nimi i zawsze niemiła gadanina na temat narodowy. Polacy, a zwłaszcza starsi, to wiekuiste jęki a biadanie. Polityka, Europa zachodnia, nieszczęsny naród—jakież to uprzykrzone! Młodsi ujdą jeszcze, ale ze starymi nie warto rozmawiać. Lepszą część życia swego spędziło to bez bólu i troski, odgrywając swoje „pańskie facecye" na grzbietach bezbronnych „chłopów" i „pana arendarza;" nagle zniknęło po powstaniu to czarowne eldorado, znikły i niewyczerpane fundusze materyalne, więc co począć? trzeba zrzędzić. Mów, co chcesz, ale ja widzę w tem zwyrodnienie plemienia polskiego. Zmiłuj się! Plemię, które miałoby siły żywotne, nie będzie płakało i żebraczym głosem, łzawo dopraszało się jałmużny. To objaw bezsilności i zwyrodnienia.

— Czyż naprawdę?

— Zaręczam. Polacy są bezsilni. Wynajdują jakieś tam zabawy i programy, ale to wszystko głupstwo. Patrz, cała ta okolica, którą jedziemy, była w ich rękach. Tu byli najbogatsi obywatele: Prozorowie, Śniadeccy i wielu innych. Gdzie są? Jednych już nie ma, drudzy daleko. Jednego żyd pożarł, drugiego niemiec, trzeciego nasz „rusaczek," choć nie tak zręcznie. Największe fortuny nie wytrzymały. A jeżeli nie mogli się utrzymać w takiej sferze namacalnej, jak materyalna, czyż ustrzegą się w tamtej, niepochwytnej, jak ocalą swą narodowość? O kilkanaście wiorst stąd były prześliczne dobra polskie. Dziś niemiec tam siedzi.

— Alboż i tu niemcy się dobierają?

— Tak jest; w niewielkiej może liczbie, ale osiadają mocno, na dobre, i zaraz fabryki zakładają. Dla kraju to może i dobrze, ale dla polskiej „idei?" A pamiętam, co wyprawiał tam polski obywatel. Przyjedzie naprzykład na jarmark i myśli, jakby tylko pieniądze wyrzucić. Więc skupuje z całego miasteczka szampana, każe ustawić na rynku wszystkie butelki jedna przy drugiej, sprasza szlachtę i kijem przetrąca wszystkie szyjki, mówiąc do szlachty: „nie będziecie pili szampana, nie będziecie pili szampana!" A oni na to: „otóż będziemy!" I posyłają sztafetę do Kijowa, aby 1,000 butelek natychmiast wysłano umyślnym pociągiem. Połowę wypili, połowę rozbili, a Mowsza próżnował tymczasem i za każdy pożyczony tysiąc rubli, brał trzy. Dziś, u Mowszy i meble i porcelana, wszystko pańskie, a majątek? Przyjechał niemiec i kupił, założył fabrykę zapałek, i fortunę robi.

— Teraz — mówi towarzysz autora — daje się zauważyć wśród polaków objaw dość ciekawy: powstaje tam nowa warstwa, mieszczańska, z okruchów starej szlachty i małomiasteczkowych szlachciców. Tendencya, zajęcia, nawyknienia tej warstwy układają się całkiem wedle typu burżuazyi. Ale ten wróg wcale nie jest straszny. Widnokrąg burżuazyi jest szczupły, ideały—arszynem się mierzą, a upodobania i tradycye siłą konieczności około złotego cielca się grupują. Burżuazya nie odrodzi, bo odrodzić nie jest w stanie: może przedłużyć konanie tego plemienia, jak piżmo, ale nie jest wodą życia; tak, może przedłużyć choćby do nieskończoności, ale cóżto znaczy? Trochę więcej życia z piżmem, trochę mniej — to wszystko jedno.

I ukazując na starego polaka, rozmawiającego z żydem, towarzysz dodaje, wskazując na tego ostatniego:

— Oto jest naród burżuazyi, konający od lat tysiąców. Nie daj Boże od *niego* uczyć się rozumu, jak życie przedłużyć."

Grażdanin zamieszcza list z Warszawy, który zapewnia, że „cała Warszawa przepełniona jest prusakami, którzy w charakterze majstrów, robotników, subjektów, dozorców i agentów" pracują przy kanalizacyi.

„Piszący zapewnia, że wszyscy ci prusacy, liczą się do pruskiej landwery, że studyują Warszawę, robią notatki itd.

Ile w tem jest prawdy, ręczyć mi trudno; ale wyznaję, że tu nie ma nic nieprawdopodobnego, zwłaszcza jeżeli przypomnimy sobie przeszłość i niedawne zresztą czasy, podczas których w "Przywiślańskim kraju" dozwolono osiedlić się całym nowym Prusom. Mamy przecież oryginalną politykę rusyfikacyi.

W byłem Królestwie Polskiem i w kraju Zachodnim stała się potrzebną ta polityka po powstaniu i w tym celu bardzo dowcipnie zastosowane zostały trzy główne sposoby: 1) prześladowanie większej własności ziemskiej; 2) tolerowanie i 3) osiedlanie poddanych pruskich w posiadłościach rosyjskich, a zwłaszcza na granicach.

O ile wzmocnił się żywioł rosyjski w tych prowincyach, nie wiem; lecz o ile Zachodni, a zwłaszcza „Przywiślański kraj" stał się zdobyczą „lubiącego pokój" sąsiada, to każdemu wiadomo. Cóż więc dziwnego, że „lubiący po-

kój“ niemcy z nad Sprei w obecnym czasie uznali za właściwe wysłać ogromną partyę oficerów i podoficerów landwery do Warszawy, dla bliższego zbadania jej pod każdym względem, a wrzekomo dla robót kanalizacyjnych i wodociągowych. Wszak w najgorszym wypadku może za takie próbki studyowania Warszawy być zaarcsztowanym jeden i drugi niemiec, a następnie wypuszczony... na żądanie konsula niemieckiego. Nieprzyjętem jest u nas pozwalać sobie nawet względem *podejrzanych* poddanych pruskich tego, co prusacy pozwalają sobie bez ceremonii względem *niepodejrzanych* wcale poddanych rosyjskich — areszt: heraus!!“

Warszawskij dniewnik zamieszcza list z Hrubieszowa, w którym czytamy:

„Teraz u nas w Hrubieszowie restaurują kościół. Władze miejscowe pozwoliły na zbieranie na ten cel składek. Oczywiście rzecz jest godna pochwały, że odnawiają świątynię Pańską. Lecz w sprawie jej mimowoli razi nas to, że parafianie naszej cerkwi prawosławnej Nikolskiej, przeważnie rolnicy i do tego drobni rolnicy, z taką gorliwością wożą do kościoła ciągle piasek, glinę i składają ofiary pieniężne na restauracyę wówczas gdy ich parafialna cerkiew prawosławna znajduje się w nieporównanie gorszym stanie, niż kościół i oddawna domaga się gruntownego odnowienia. Nie pozostaje nic, jak postawić wykrzyknik i znak zapytania i zapytać osób kompetentnych, mogących wytłómaczyć ten objaw, co też on znaczy?“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wystawa ogrodnicza, trwająca w ciągu dni pięciu, odznaczała się jedynie bogactwem okazów kwiatowych, zwłaszcza róż, inne działy jak np. warzywa, owoce, wcale lub bardzo słabo były przedstawione. Wytłomaczeniem tego faktu ma być niewłaściwa pora, ale dla czego wszystkie prawie wystawy urządzają się stale w niewlaściwym czasie? Czy nie lepiej byłoby ogłosić wprost specyalną wystawę kwiątową? Pięknym doborem okazów odznaczyli się wyłącznie ogrodnicy warszawscy, oni też otrzymali główne nagrody. Są to zresztą nazwiska znane dobrze, niema więc potrzeby ich tu wyliczać.

Bank włościański został otwarty w Mińsku.

Komisya specyalna wyznaczoną została dla zbadania stanu cukrownictwa w Rosyi. Powołano do niej niektórych przedstawicieli tego przemysłu w Królestwie.

Zmiana. Ministeryum oświecenia udzieliło pozwolenia na zamianę wszystkich sześcioklasowych gimnazyów żeńskich, istniejących w Królestwie, na siedmioklasowe.

Kwestyonaryusz. Komisya przemysłowa, wydelegowana dla zbadania przemysłu tutejszego, rozesłała do fabrykantów kwestyonaryusz, złożony z 27 pytań, dotyczących przeważnie strony technicznej i handlowej przedsiębiorstw.

Pamiętniki Michała Czajkowskiego (Sadyka baszy) nabył jeden z obywateli gubernii kijowskiej i zamierza wydać je we Lwowie. Pamiętniki stanowić będą sześć sporych tomów.

Nowe prawo o kontroli zakładów przemysłowych i wzajemnych stosunkach między fabrykantami i robotnikami ogłoszone zostało w tych dniach: ogranicza ono w pewnej mierze samowolę przedsiębiorców.

Rekruci polacy z Poznańskiego będą wysyłani do innych korpusów niemieckich, w zamian zaś do korpusu poznańskiego przysyłani będą niemcy.

Ludność żydowska obliczoną jest na 6,300,000 głów, z których 5.400,000 mieszka w Europie, najwięcej w Rosyi, bo 2,552,000, później w Austryi 1.640,000, w Niemczech 562,000 itd.

Gorliwość. Anstryackie ministeryum oświaty poleciło usunąć z bibliotek szkolnych niewłaściwe dzieła. Otóż niektórzy nauczyciele we Lwowie, jak donosi *Kur. lwowski,* zażądali wyrzucenia dzieł Hofmanowej, *Konrada Wallenroda,* ponieważ „jest to romans nie powieść,“ *Żywota Kościuszki* p. L. Siemieńskiego, gdyż jest tam mowa o wykradzeniu panny, wreszcie utworów Romanowskiego, Zacharyasiewicza, Wasilewskiego itp.

Prasa polska. Od października r. b. wychodzić zacznie pismo p. t. *Tellus,* poświęcone sprawom cukrownictwa, gorzelnictwa i piwowarstwa.

Konkurs. Prenumeratorowie *Tygodnika ilustrowanego* znaczną większością głosów przyznali nagrodę p. Maryi Konopnickiej za wiersz p. t. *Do granicy.*

Studenci uniwersytetów niemieckich rodem z Królestwa, przebywający obecnie podczas wakacyj w kraju, otrzymali zawiadomienie, że nie będą dopuszczeni do ukończenia nauk.

Ciekawe cyfry. *Warsz. Dniewnik* przytacza statystyczne dane, dotyczące fabryk warszawskich. Polacy posiadali 57 fabryk, w których pracowało techników 86 polaków, 1 żyd i 9 cudzoziemców (mniej niż 10%), oraz robotników 3.405 polaków, 8 żydów i 93 cudzoziemców (2½%). W 33 fabrykach, należących do izraelitów, było techników polaków 15, żydów 36 i cudzoziemców 9 (15%), robotników zaś 1,072, 1,200 i 71 (3%). Cudzoziemcy posiadali 49 fabryk, w nich zaś liczono techników 72 polaków, 6 żydów i 29 cudzoziemców (27%) oraz 3,586, 253 i 252 (6%) robotników trzech powyższych kategoryj. Oprócz tego w 7 wielkich przedsiębiorstwach akcyjnych, których właścicielami są żydzi i niemcy wyłącznie prawie, było techników polaków 64, żydów 4 i niemców 40 (37%), robotników zaś 2,600 p., 4 ż. i 144 cudz. (5½%). Z tych danych *Dniewnik* wnioskuje, że żydzi, chętniej daleko niż polacy, dają zajęcie cudzoziemcom i że w żadnym razie uważać ich nie można za przeciwników napływu niemieckiego.

Zmarli. Franciszek Liszt, genialny muzyk.

— Jan Lam, znany humorysta i dziennikarz polski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. w Krakowie. W krótkiej notatce niepodobna było wyliczać wszystkiego.

P. M. Ch. w Kijowie. Nie ma.

P. Z. Sok. w Permie. Pismo to bardzo małej wartości; w drugiej postaci nie wychodzi.

M. K. Bez wartości.

P. A. W. Hoża. „Społeczeństwa zwierzęce“ Espinasa.

P. E. M. w Ol. Poezyj nieodpowiednich dla tekstu pisma, za opłatą w jego ogłoszeniach nie pomieszczamy.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Іюля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**